WTOREK Nr 11 27 I 1981 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

DZIŚ KONKURS, JAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO

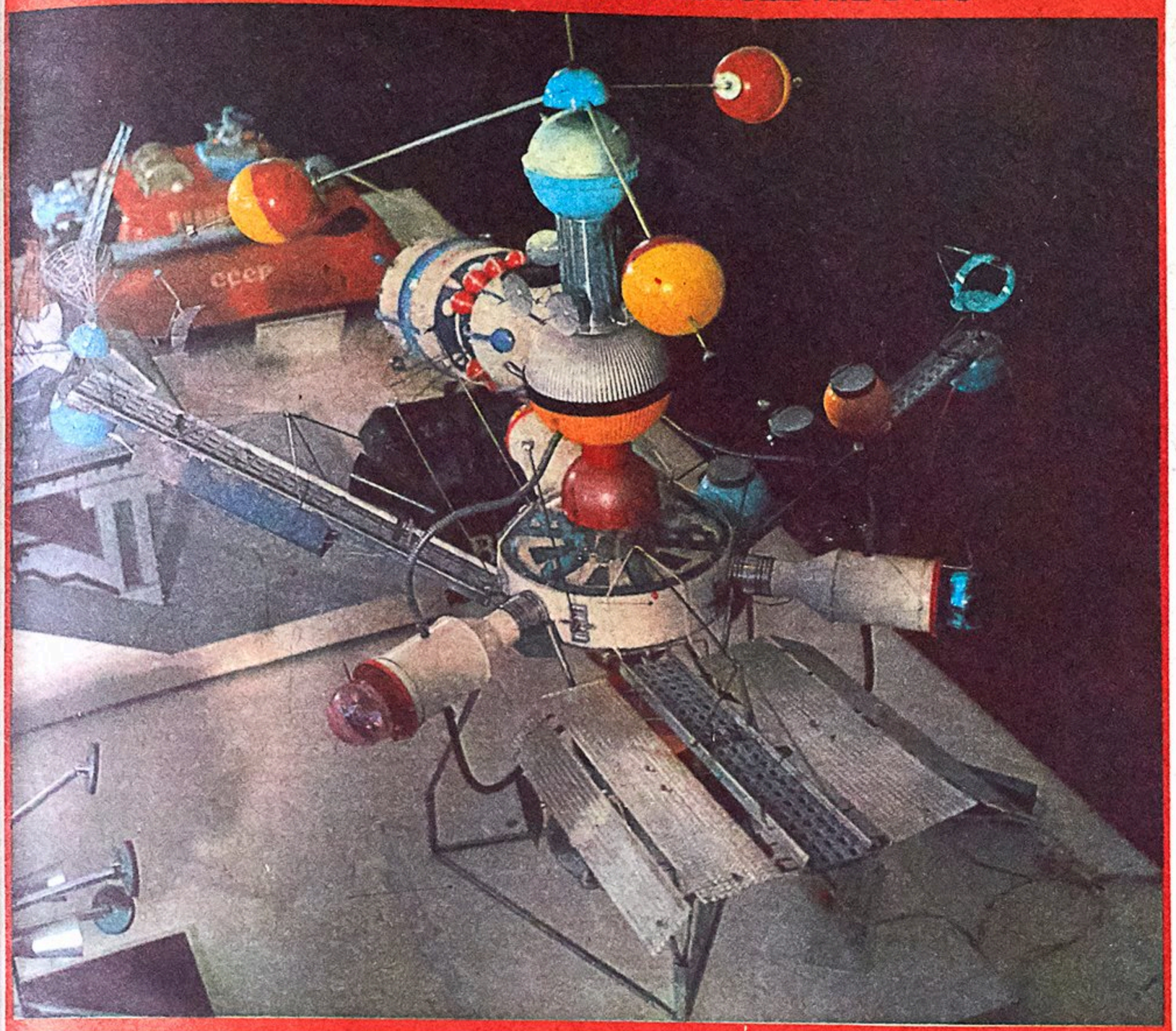

MAŁY INTERKOSMOS

czyli każdy ma szansę zaprojektować badania kosmiczne

Konkurs poświęcony jest 20 rocznicy pierwszego lotu w kosmos Jurija Gagarina, a głównymi jego organizatorami są: Wszechzwiązkowy Leninowski Komunistyczny Związek Młodzieży, Akademia Nauk ZSRR, Ministerstwo Oświaty ZSRR oraz Zarząd Wszechzwiązkowego Towarzystwa „Wiedza" wspólnie z Federacją Kosmonautyki ZSRR. Konkurs ma charakter międzynarodowy; uczestniczą w nim bowiem uczniowie krajów RWPG, biorących wspólny udział w badaniach kosmicznych w ramach programu „Interkosmos". W Polsce organizatorem tego wielkiego przedsięwzięcia jest Biuro Młodzieżowych Patentów przy Głównej Kwaterze ZHP.

O szczegołach Konkursu, a także o nagrodach (m.in. 9 wyjazdów w okresie wakacji 1981 r. do ZSRR) piszemy w TOMIKU na str. 7.

Na zdjęciu: Model laboratorium słonecznego, wykonany przez uczniów z Izmaiłowa

Fot. APN

Czeski Teatr Kukiełkowy „Speibel i Hurvinek" istnieje już 50 lat. Dwie zabawne laleczki mówią w 16 językach i występowały już w 26 krajach. Na zdjęciu jedna z ulubionych postaci – Manička – z aktorką, która użycza jej swego głosu.

Fot. CAF

Jednoczęściowe aparaty telefoniczne już w seryjnej produkcji

KRAKÓW (PAP). Krakowskie zakłady telekomunikacyjne „Telkom-Telos" rozpoczęły seryjną produkcję jednoczęściowych aparatów telefonicznych. Telefon taki składa się wyłącznie ze słuchawki, w obudowie której wmontowana jest tarcza numerowa. Tradycyjny dzwonek, zastąpiono w nim świergotaniem elektrycznego ptaka. Jednoczęściowe telefony produkowane będą w trzech zestawach kolorystycznych, odznaczają się estetyczną, funkcjonalną obudową, przy konstruowaniu której pomagali specjaliści z dziedziny form przemysłowych Politechniki Krakowskiej. Do końca br. „Telkom-Telos" dostarczy do sklepów kilka tysięcy sztuk tych nie produkowanych do tej pory w kraju aparatów.

TU LIGA REPORTERÓW „ŚWIATA MŁODYCH"

Uroczyście witam pierwszych w tym roku nowo przyjętych członków Ligi Reporterów. Zgodnie z zapowiedzią nazwiska ich zamieszczam w gazecie.

Tytuł członka Ligi Reporterów otrzymują:

1. STANISŁAW DŁUSKI z Dębowca

2. MIROSŁAW MIESZAŁA z Oświęcimia

Serdecznie gratuluję Kolegom – reporterom! Specjalne znaczki oraz listy wysyłam pocztą.

Wszystkim przypominam, że dopiero druk trzech korespondencji upoważnia ich autora do tytułu członka Ligi Reporterów „Świata Młodych".

UWAGA ● UWAGA ● UWAGA

● W następnym numerze ogłoszę nowy temat do dyskusji!

● Wypowiedzi GDYBY ODE MNIE ZALEŻAŁO są aktualne nadal!

Szef Ligi Reporterów

Z takim wychowawcą można żyć!

Jesteśmy zgraną klasą, uczniowie zdolniejsi pomagają słabszym. Dzięki temu przed lekcjami nie ma odpisywania. Zdawać by się mogło, że klasa jest na medal. Jest to jedna strona medalu. Druga, to niektórzy chłopcy. Są zdolni, ale niestety, nie chce im się uczyć, chodzą czasami na wagary, lubią zapalić papierosa. Jedynym człowiekiem mającym na nich wpływ jest nasz wychowawca, p. Henryk Bednadziewicz. Potrafi on z nimi porozmawiać od serca, nie grozi, a tłumaczy i dzięki temu ci chłopcy coraz mniej wagarują. Na razie nie potrafię tylko powiedzieć, czy palą papierosy.

Oprócz godzin wychowawczych i wychowania fizycznego, lekcji najbardziej przez nas lubianych, z naszym wychowawcą mamy jeszcze matematykę, fizykę i PO. Na lekcjach wf, gdy jest ciepło, gramy w piłkę nożną, lub ręczną, w siatkówkę lub koszykówkę. Zimą jeździmy na łyżwach, gramy w hokeja lub rzucamy się śnieżkami. Nauczyciel zajęcia sportowe dopasowuje do pogody, ponieważ nie mamy sali gimnastycznej. Gdy pogoda jest naprawdę zła, siedzimy w klasie i gramy w różne gry.

Na godzinach wychowawczych wraz z wychowawcą dyskutujemy nad sprawami dotyczącymi szkoły i domu. Poznajemy zasady bezpieczeństwa w czasie drogi do szkoły i ze szkoły do domu. Ważne jest to między innymi dlatego, że prawie 80 proc. uczniów dojeżdża na rowerach lub szkolnym autobusem. Rozmawiamy też o przyszłych szkołach. Przecież każdy uczeń musi się w porę zorientować czy z jego umiejętnościami uda mu się dostać do wybieranej szkoły, i czy da sobie w niej radę.

Na jednej z ostatnich lekcji wychowawczych omawialiśmy tegoroczną, majową wycieczkę, na którą pojedziemy za pieniądze zarobione przy zbieraniu ziemniaków w jednym z państwowych gospodarstw rolnych. Ustaliliśmy, że zwiedzimy Trójmiasto i po drodze Malbork. Na takiej samej czterodniowej wycieczce byliśmy w górach, w ubiegłym roku. Ja i oczywiście cała klasa z tych wycieczek bardzo się cieszymy, ponieważ jako dzieci rolników w czasie wakacji nigdzie nie wyjeżdżamy.

Karol Lewandowski
Boguszyniec Mały

Marta z Będzina najlepsza w polsko-jugosłowiańskim konkursie plastycznym

Rozstrzygnięty został konkurs plastyczny pt. „Wojna i pokój w oczach dziecka". Jego organizatorem był tygodnik „Kronika" z Bielska-Białej i „Światłost" z Kragujevca. Do konkursu zgłoszono ponad 1000 prac dzieci z Jugosławii i Polski.

Jurorzy jedną z głównych nagród przyznali Marcie Służałek z Młodzieżowego Domu Kultury w Będzinie.

Obecnie prace młodych twórców eksponowane są na wystawie w Kragujevcu.

WĘDRUJĄCY SZCZEP

Szczep harcerski działający przy II LO w Sopocie liczy 5 drużyn, dwie mają określony profil, jest to drużyna przeciwpożarowa i żeglarska. Ale szczep znany jest głównie w mieście i okolicy z tego, że jego członkowie upodobali sobie turystykę. 140 harcerzy z komendantem na czele w czasie ferii i wakacji wędruje po Polsce, a w czasie roku szkolnego przemierza okolicę podczas niedzielnych wycieczek.

W czasie wakacji w ub.r. zainicjowali wyprawę wzdłuż Wisły, od jej źródeł do Krakowa.

Na najbliższe letnie wakacje zaplanowali marszrutę z Krakowa do Sandomierza. Wędrówki sprzyjające poznawaniu kraju, rozbudziły wśród młodzieży zainteresowania historią Polski.

(dr)

W grudniu zakończono elektryfikację linii Śląsk–porty Wybrzeża Zachodniego. Jest to bardzo ważna inwestycja: nowa trasa pozwoli na znaczne zwiększenie prędkości pociągów oraz ich liczby. Pierwszy pociąg elektryczny (widzicie go na zdjęciu) przyprowadzili st. maszynista Bolesław Skorupiński i maszynista Marian Czajkowski.

Fot. CAF

REDAKCYJNA POCZTA

Ta opinia krzywdzi warszawiaków

Dlaczego ogólnie przyjęło się, że Warszawa jest siedliskiem zarozumialstwa i wyrocznią mody? Ta opinia krzywdzi warszawiaków, a jednak gdy wyjeżdżam na obóz lub kolonie boję się dziewczyn z Warszawy. Drogie koleżanki i koledzy, z wielkich miast! Nie traktujcie z pobłażliwym uśmiechem człowieka, który nie ma na sobie kożucha lub szpilek za 3000 zł. A my, dziewczyny i chłopaki z tzw. „prowincji", nie dajmy się. Dbajmy tylko o styl, wiele zależy od pomysłu, dobrego smaku, a nie od zainwestowanych pieniędzy.

Kaśka J.

„Pustelnia Parmeńska" w zamian za „Aktorów"

Posiadam dużą bibliotekę. Mam w niej zbiór książek z serii: „Wszystko o...". Brakuje mi tylko jednej książki pt. „Aktorzy". Książki tej poszukuję już od półtora roku. Chodziłam do różnych księgarni i nigdzie nie mogłam jej dostać. Zwracam się do Czytelników „RP" o pomoc. Za tę książkę mogę oddać inną, np. „Pustelnię Parmeńską", „Nad Niemnem" bądź zapłacić za nią gotówką.

Bogdan Polewiak

Ludzki odruch

Wydarzyło się to na przystanku autobusowym. Gdy czekałem na autobus, przybłąkał się pies, który trząsł się z zimna. Przytuliłem go, a pewien pan poczęstował go swoją kanapką. Pozostali ludzie zaczęli się z nas śmiać. Najbardziej utkwiła mi w pamięci pewna pani, która z oburzeniem spytała, czy nie szkoda tego jedzenia dla psa. Wtedy ów pan odpowiedział, że nie jest mu żal kanapki, bo pies jej bardziej potrzebował niż każdy z nas.

Tomek

Co miałam zrobić?

Chodzę do I klasy LO. Pewnego razu na lekcji wychowania technicznego nauczycielka poleciła mi wykonać napisy do gabloty. Oczywiście zgodziłam się, choć przez to musiałam tracić w domu czas na uzupełnianie tego, co pozostali uczniowie w ciągu dwóch godzin wt zanotowali. Ponieważ napisów, które miałam wykonać było dużo, nie zdążyłam ich zrobić podczas lekcji, nauczycielka powiedziała mi, bym skończyła je na następnej lekcji – fizyce. Chodzę do klasy o profilu matematyczno-fizycznym, nieobecność na lekcji oznacza dla mnie tylko pobieżne poznanie przerobionego materiału, gdyż nauczycielka fizyki rozszerza program i w inny sposób interpretuje tematy opracowane w podręczniku. Od uczniów wymaga tego, o czym mówi się na lekcji. Dlatego też odmówiłam nauczycielce wychowania technicznego proponując równocześnie wykonanie reszty napisów w domu. Otrzymałam odpowiedź: „jak nie chcesz, to nie". I nauczycielka dała tę samą pracę do wykonania mojej koleżance (oczywiście w czasie lekcji). Czuję, że „podpadłam". Ale zastanawiam się równocześnie czy naprawdę źle postąpiłam i czy nauczycielka wt właściwie zareagowała? A Wy, co o tym sądzicie?

Pszczółka Maja

Te dzieci zasługują na życzliwe traktowanie

Mieszkam w ładnej wsi, gdzie znajduje się szkoła dla dzieci upośledzonych umysłowo. Ludzie z mojej wsi wrogo odnoszą się zarówno do nauczycieli jak i do ich wychowanków. Zdarzały się wypadki, że dzieci będące na spacerze zostawały obrzucane kamieniami, zgniłymi jabłkami i ziemniakami; zwymyślano je i wyśmiewano w okropny sposób. Bywało, że na furtce prowadzącej do zakładu wisiały kartki z obraźliwymi przezwiskami wychowawców oraz napisy: „głupki", „wariaty", „niedołęgi". Kiedyś zdarzyło się, że gdy dzieci z wychowawcą udały się na tor saneczkowy przez nie wykonany, zastały tam młodzież ze wsi, która bezlitośnie burzyła i rozwalała tor. Na pytania i protesty wychowawcy nie raczyli nawet odpowiedzieć. Ktoś tylko krzyknął: „lepiej pilnuj swoich mądrali".

Byłam świadkiem tych zajść. Próbowałam zapytać się swoich rówieśników dlaczego to robią? W odpowiedzi zawsze słyszałam „a co, chcesz trzymać z nimi?", lub: „co się będziesz przejmować świrami". Za każdym razem, gdy obserwuję podobne zjawiska odczuwam wielkie oburzenie i przykrość. Czuję się tak jakbym była jedną z tych, którzy nie chcą czy nie mogą zrozumieć, że takim dzieciom też potrzebne są dobre serca, życzliwość, a także miłość. Przecież dzieci z zakładu nikomu nie zrobiły nic złego, nie wyrządziły żadnej krzywdy czy przykrości. Nie jest też ich winą, że są chore umysłowo. Czy istnieje więc powód do takiego ich traktowania?

Anka

Nasz czytelnik
Rafał Łaszkiewicz pisze z USA

UCZĄ TUTAJ MNIEJ, ALE CHYBA LEPIEJ

Obecnie przebywam w USA przez okres jednego roku. Chodzę tu do szkoły, do dziewiątej klasy, a jednocześnie korespondencyjnie przerabiam program klasy I LO. Tutaj każda sobota jest wolna. Jest to dzień poświęcony na wypoczynek i prace domowe. W każdym dniu pięciodniowego tygodnia nauki jest sześć lekcji. W programie jest tylko sześć przedmiotów, z czego dwa można sobie wybrać spośród dziesięciu kierunków. Uważam polski program nauczania za niepotrzebnie przeładowany szczegółami i definicjami, które w razie potrzeby można znaleźć w książkach, a niekoniecznie trzeba pamiętać. Dotyczy to przede wszystkim matematyki i fizyki. W szkole amerykańskiej kładzie się duży nacisk na rozumienie a nie na opanowanie pamięciowe dużego materiału, który i tak się zapomni. Z aktualnego programu klasy I LO można moim zdaniem opuścić 25 proc. wiadomości bez uszczerbku dla poziomu kształcenia, np. wiadomości historyczne rozwoju języka polskiego. Wydaje mi się, że sześć godzin przebywania w szkole wystarczy z powodzeniem do opanowania nieco zmodyfikowanego programu. W przypadku, jeśli będą właściwe pomoce szkolne, a lekcje będą miały charakter bardziej praktyczny, niż teoretyczny, zwłaszcza z przedmiotów ścisłych, można również skrócić przerwy do pięciu minut, tak aby klasa miała czas na przejście z pracowni do pracowni, zachowując jedną piętnastominutową przeznaczoną na śniadanie.

ZABAWKI MILITARNE – TAK CZY NIE

Bardzo zainteresował mnie ten podjęty przez was temat. Uważam samą ideę za piękną i godną realizowania, lecz jest to moim zdaniem idea utopijna.

Cóż może mieć za sens zakaz produkcji zabawek militarnych przy tak wielkiej ilości filmów o tematyce kryminalnej, westernowej czy wojennej, która ukazuje się na co dzień na ekranach naszych telewizorów. Przecież nawet nie mając zabawek dzieci starały się naśladować bohaterów filmów takich jak np.: „Kojak", „Święty", Kloss, którzy wprawdzie walczą o prawo i sprawiedliwość na świecie, ale na swej drodze muszą zabijać przeciwników. Czy może coś zmienić odebranie zabawek, gdy lekturami obowiązkowymi w szkołach są książki wojenne? Jak można odbierać dzieciom żołnierzyki, kiedy w tych książkach ukazane są rysunki rycerzy, bądź też żołnierzy? I teraz argument chyba najważniejszy. Po co odbierać uczniom klas I–V pistolety, czołgi itp. kiedy w VIII klasie daje im się do ręki kbks, granaty na lekcjach P.O.? I tego chyba nie można zmienić przy dzisiejszej tak skomplikowanej sytuacji międzynarodowej.

Mariusz Śledź (l. 15)

„PRAWDZIWYCH PRZYJACIÓŁ POZNAJE SIĘ W BIEDZIE"

Mam 13 lat, adapter, rower, dom z ogrodem, młodych rodziców, 4-letniego braciszka i młodszą siostrę, 9-letnią Anię. Jestem chorowita, niedawno miałam zapalenie płuc i musiałam przez 2 tygodnie leżeć w łóżku. Wtedy zrozumiałam jaka naprawdę jest moja siostra. Przed moją chorobą stale się kłóciłyśmy. Ja czułam się zawsze poszkodowana, bo rodzice przyznawali rację młodszej siostrze. Ta sytuacja zmieniła się wtedy, gdy zachorowałam. Ania gdy odrobiła już swoje lekcje, bawiła się ze mną, sama kupowała mi mój ulubiony „Świat Młodych" i „Płomyk". Sprawdziło się powiedzenie: „Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie".

Iwona

„SOL-KROPKI" UPRZYJEMNIAJĄ INNYM ŻYCIE

W naszej klasie znalazłam sobie przyjaciółkę, Dankę. Jest sprawiedliwą i dobrą koleżanką, obie mamy podobne zainteresowania. Założyłyśmy dwuosobowy zespół, nie mamy jeszcze tylko nazwy. Same robimy układy taneczne do piosenek i wykonujemy je na imieninach naszych koleżanek i kolegów, a także na innych prywatnych spotkaniach.

Należymy do zespołu werblistów „Taraban". Często wyjeżdżamy na występy do różnych miast i wsi. Ponadto jesteśmy w zespole wokalnym „Sol-kropki". We wrześniu przebywaliśmy na Słowacji, gdzie przedstawiliśmy piosenki. Zawarliśmy też przyjaźń z dziewczętami i chłopcami z Czarnego Dunajca. Byliśmy przez nich serdecznie goszczeni.

Anka z Kędzierzyna

Jacy naprawdę jesteśmy?

ZŁO POWODOWANE NADUŻYWANIEM ALKOHOLU

Wydarzenie miało miejsce podczas ferii. A oto bieg zdarzeń: – Pociąg osobowy do Warszawy Wschodniej przez Kluczbork wjeżdża na tor 9 przy peronie 3 – oznajmia dyżurna. Na peronie, gdzie stoję wraz ze starszą ode mnie o 9 lat przyjaciółką, robi się ruch. Zrzucam z ramion potwornie ciężki plecak i... jedynie dzięki sprytowi zdrowa i cała dostaję się do wagonu. Bieganina w poszukiwaniu wolnych miejsc rośnie z każdą chwilą. Wszędzie słyszę to samo: zajęte, zajęte... Idąc śladem przyjaciółki, dochodzę do wagonu „Warsu". Już tylko ogorzałe, zdradzające skłonności do alkoholu twarze, odór różnego rodzaju trunków i dymu papierosów.

Cóż, tu w tym ostatnim przedziale jest najluźniej. Bezradnie spoglądam na przyjaciółkę – niech sama decyduje: albo wybierzemy niemożliwe warunki stania w poprzednich przedziałach, albo to „wesołe" towarzystwo. Zostajemy jednak tutaj. Kątem oka patrzę na te twarze. Są różne, stare i młode, rubaszne i zgryźliwe. Kilkakrotnie łapię natarczywe spojrzenia. Ogarnia mnie nieswoje uczucie. Źle się czuję obserwowana czerwonymi, mętnymi oczami tych ludzi, co chwila zewsząd sypią się siarczyste przekleństwa i dosadne określenia. I nagle...

– Moja dziewczyna! – woła spity, może 19-letni, chłopak, ogarniając mnie ramieniem. Wściekła i obrażona mówię kilka słów bez ładu i chłopak przechodzi dalej. Na czoło występują mi krople potu. Alkoholowy zaduch dławi, natręt oburza. I znów ten chłopak. Tym razem interweniuje moja przyjaciółka, po czym obie – ja z powiekami ciężkimi od powstrzymywanych łez – idziemy dalej od tego przedziału. Na szczęście już robi się mniej tłoczno, ludzie z wolna lokują się pod ścianami, umożliwiając przejście. Chwilę układamy bagaże, po czym siadamy na krzesłach opuszczanych z bocznej ściany wagonu. Daję ulgę zmęczonym nogom i strapieniu. Staram się nie słuchać tych obrzydliwych kłótni i przepychania. To kolejni pasażerowie kierują się w stronę „Warsu".

A przecież my, Polacy, jesteśmy serdeczni i życzliwi, mężczyźni znani są z elegancji wobec kobiet. Wielka szkoda, że alkohol powoduje takie spustoszenie i zło w stosunkach międzyludzkich.

Marzena Gróbarczyk

TRUDNO POGODZIĆ SPORT Z NAUKĄ

Jestem uczennicą VIII klasy w Skarżysku Kamiennej. Nie najlepiej się uczę, moją słabością jest chemia i matematyka, a jak wiadomo te przedmioty odgrywają ważną rolę w programie szkolnym. W odrobieniu lekcji często pomaga mi moja starsza siostra, Urszula. Większość wolnego czasu spędzam z Agatą, koleżanką z klasy, która jest jedną z lepszych uczennic. To właśnie ona zafascynowała mnie sportem. Na jednej z lekcji wychowania fizycznego nasza nauczycielka poleciła nam trzykrotne okrążenie boiska. Szczęście mi sprzyjało, byłam pierwsza. Następnie wyznaczono mnie na mistrzostwa szkoły. Tam zdobyłam czwarte miejsce. Było to dla wszystkich dużym zaskoczeniem, ponieważ biegło 14 dziewcząt najlepszych w szkole, a ja dotąd nie wykazywałam uzdolnień sportowych. Agata wprowadziła mnie na treningi i od tej pory chodzę na nasz stadion „Granat" by systematycznie ćwiczyć.

Niestety, sport nie pomaga w uzyskiwaniu lepszych wyników w nauce. Muszę więc go ograniczać na korzyść chemii i matematyki.

Wiolka

REPORTER Świata Młodych

„Gdyby ode mnie zależało"

POCZUCIE HUMORU?

Już wcześniej chciałam do Was skrobnąć parę zdań. Ale jakoś tak zleciało i dopiero wydrukowana w „ŚM" wypowiedź Maćka z mojego rodzinnego Pruszkowa postawiła mnie na nogi. Zamierzam także troszkę „porządzić".

Na początku moich „rządów" wstrzymałabym budowę osiedla „Nowa Wieś" i kazałabym puknąć się w czoło twórcom tego osiedla. Bo jak można budować w środku czworoboku siedmiopiętrowców (między jednym, a drugim blokiem jest przestrzeń około 40 m) czteropiętrowy budynek, do którego słońce nie będzie miało wstępu? W części „Nowej Wsi" stoi kilka jedenastopiętrowców, potem czteropiętrowce i znów jedenastopiętrowce. Jeżeli budowniczowie chcieli stworzyć górski krajobraz, to podziwiam ich poczucie humoru, które, niestety, nie udziela się mieszkańcom...

Z osiedlem „Nowa Wieś" łączy się sprawa Szkoły nr 8 w Pruszkowie przy ul. Obrońców Pokoju 44. Chodzi tu o pomieszczenia klasowe. Budując tak duże osiedle (15 tys.) trzeba chyba pomyśleć o nowej szkole. Ale to jest marzenie. Nasza stara „ósemka" pęka w szwach, a szkoła przyszłości to fakt oddalony o tysiące kilometrów świetlnych. Bo czy można (na zdrowy rozum) w budynku przeznaczonym na 800 osób upchać 1500 uczniów? Czy można w jedenastu salach zmieścić szesnaście klas? Wątpliwe. Tak samo pisana na wodzie jest przyszłość naszego szkolnego sportu. Ale cóż zrobić, kiedy klasy usportowione trenują piłkę ręczną na... korytarzach. Pomimo wysiłków nauczycieli w-f W. Osieckiego i R. Rota zarząd klubu sportowego „Znicz" nie udostępnił nam hali. A to było do zrobienia. Dlaczego Szkoła nr 11 zawsze ma halę, a nr 8 – nie? Odpowiedź jest jednoznaczna „nie trenujecie koszykówki..."

Gośka z Pruszkowa

KIEDY SUKCES JEST POZORNY

Pragnę poruszyć problem, który na pewno nurtuje większość młodzieży. Chodzi o tzw. godziny społeczne. Uczniowie muszą przepracować społecznie – tak wynika z zarządzenia ministerstwa – ilość godzin, równą tygodniowej ilości godzin lekcyjnych, pomnożonych przez dwa. Ma to wyrabiać zamiłowanie do pracy, ma uczyć jej.

Wszystko piękne, tylko, że my uczymy się po prostu oszustwa. Nauczyciele bowiem za przepracowanie jednej godziny wpisują do dziennika wielokrotnie więcej. Nie mam nic przeciwko pracy, ale nie oszukujmy się nawzajem. Wszak szkoła ma być drugim domem, mówi się, że kształtuje charakter, dlaczego zatem wpaja nam oszustwo? Jeżeli przyswoimy je sobie w szkole, co będzie, gdy znajdziemy się na kierowniczych stanowiskach? A przecież dowiadujemy się o wielu trudnościach, na jakie napotkała Polska. Kryzys ten spowodowany był wielkimi nadużyciami oraz uprawianiem ustawicznej propagandy sukcesu. A takie wypisywanie nieprawdziwych danych w dziennikach jest również czymś w rodzaju propagandy sukcesu, tyle że na małą skalę. Jeżeli wyniesiemy taki zwyczaj ze szkoły...

Nie jestem, podkreślam to, sceptycznie nastawiona do pracy ucznia, ale – jeżeli źle zorganizowana – ma kształtować w naszym charakterze nieprawość to znieśmy ją, gdyż mija się z celem. Myślę, że na falach odnowy warto zająć się i tą sprawą.

„Gajusz Juliusz Cezar"
Warszawa

„Polacy ratują nubijskie zabytki", „Cud w Faras", „Odkrycie stulecia – świątynia Totmesa III", „Odkrycie największego teatru rzymskiego w Afryce" – takie informacje przewijające się w ostatnim ćwierćwieczu na łamach prasy kojarzyły się czytelnikom z nazwiskiem prof. Kazimierza Michałowskiego. Prowadzone i organizowane przez Niego prace wykopaliskowe na Bliskim Wschodzie zapoczątkowały bowiem wspaniały rozwój polskiej archeologii śródziemnomorskiej...

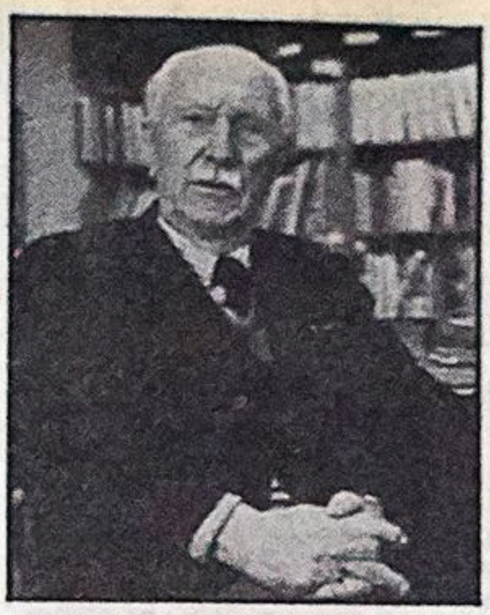

„SĄDZĘ, ŻE NIE ZMARNOWALIŚMY TEGO CZASU..."

Zmarły 1 stycznia br., w wieku 80 lat, w Warszawie wybitny polski uczony – archeolog prof. Kazimierz Michałowski, organizator i kierownik Polskiej Stacji Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze był twórcą polskiej szkoły archeologii śródziemnomorskiej. Absolwent Uniwersytetu Lwowskiego – studiował również w Berlinie, Heidelbergu, Munster, Paryżu, Rzymie i Atenach – co ułatwiło późniejsze kontakty z czołówką europejskiej archeologii śródziemnomorskiej i klasycznej. Prof. Michałowski związany przez wiele lat z Uniwersytetem Warszawskim, Zakładem Archeologii Śródziemnomorskiej PAN i Muzeum Narodowym w Warszawie rozwinął w Polsce badania z zakresu archeologii śródziemnomorskiej, a szczególnie – egiptologii. Z jego inicjatywy zostały podjęte w latach 1936–1939 w e współpracy z Francuskim Instytutem Archeologii Orientalnej w Kairze wspólne polsko-francuskie prace wykopaliskowe w Edfu, w Egipcie. Przyniosły one interesujące odkrycia – zaś znalezione zabytki stworzyły podstawy zbiorów starożytnych Muzeum Narodowego w Warszawie. Jednocześnie uzyskano cenne doświadczenia w prowadzeniu prac archeologicznych na Bliskim Wschodzie, które zaowocowały w okresie powojennym.

Utworzona w 1958 r. Polska Stacja Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze kierowana przez prof. K. Michałowskiego rozpoczęła intensywne badania archeologiczne na Bliskim Wschodzie, obejmując swymi pracami obszary o kluczowym znaczeniu dla rozwoju starożytnych cywilizacji – dolinę Nilu, Mezopotamię, Syrię. Stacja szybko uzyskała wyniki liczące się w nauce światowej.

„Wiek XIX był nazywany złotym wiekiem archeologii śródziemnomorskiej. Odkrywano wtedy ślady zaginionych cywilizacji we wschodniej części Morza Śródziemnego i w Mezopotamii. Rewelacyjnych odkryć dokonywali uczeni francuscy, włoscy, brytyjscy, niemieccy, amerykańscy. Wśród badaczy prowadzących poszukiwania nad Nilem, czy Eufratem niewiele było polskich nazwisk. Naszą nieobecność zaczęliśmy nadrabiać dopiero od drugiej połowy XX wieku. Sądzę, że w archeologii śródziemnomorskiej nie zmarnowaliśmy czasu i w ciągu ostatniego ćwierćwiecza nadrobiliśmy wiele zaległości z ubiegłego stulecia, kiedy Polski nie było na mapach Europy, a możliwości naszej nauki były bardzo ograniczone" – powiedział prof. Michałowski, w wywiadzie udzielonym przed kilku laty Polskiej Agencji Prasowej.

W ostatnim ćwierćwieczu prowadzone były prace wykopaliskowe w Tell Atrib, Aleksandrii, Deir el Bahari – w Egipcie; w Faras, Dongolii, Kadero – w Sudanie; w Nimrud, Saadiya, Bidżan – w Iraku; w Palmyrze – w Syrii i w Nea Paphos na Cyprze. Prace te przyniosły rewelacyjne odkrycia mające naukę polską. Szczególnie cztery tereny naszych badań i dokonane na nich odkrycia zyskały najwyższą ocenę. Są to wykopaliska w Faras, Deir el Bahari i Aleksandrii w Afryce oraz w Palmyrze w Syrii.

Badania w Nubii podjęte w związku z apelem UNESCO przyniosły słynny już „cud w Faras". Badania ratownicze doprowadziły do odkrycia świątyń starochrześcijańskich i odsłonięcia unikalnej kolekcji wczesnośredniowiecznych fresków. Część z nich przekazana Polsce wzbogaciła zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie. Prowadzone przez wiele lat polskie badania w Faras, Dongolii i Kasr Ibrim (te ostatnie przy współpracy archeologów brytyjskich i amerykańskich) przyniosły rewelacyjne odkrycia przez nieznanej wcześniej kultury nubijskiej. Nasi archeolodzy wzbogacili naukę światową wiedzą o historii, kulturze, sztuce, architekturze i stosunkach społeczno-gospodarczych dawnej Nubii. W znacznej mierze, dzięki polskim badaniom, wyłoniła się przed kilkunastu laty nowa dyscyplina naukowa – nubiologia.

W Deir el Bahari w górnym Egipcie, polska ekspedycja archeologiczna dokonała jednego z najciekawszych odkryć ostatniego ćwierćwiecza. Znaleziono ruiny świątyni faraona Totmesa III wbrew powszechnym przekonaniom najwięksyzch autorytetów światowej egiptologii, że wszystkie, wielkie świątynie faraońskie w Egipcie zostały już dawno odkryte. W Aleksandrii odkopano zespół monumentalnych budowli rzymskich – teatr, termy i fragmenty zabudowy mieszkalnej. W Palmyrze, na pustyni syryjskiej, prof. Michałowski zapoczątkował trwające do dziś prace wykopaliskowe, których efektem było odsłonięcie najstarszej dzielnicy miasta. W Iraku znaleziono liczne ślady starych cywilizacji, a w Kadero w Sudanie i w kilku rejonach delty Nilu odkryto ślady z tzw. epoki predynastycznej, tj. z okresu kiedy dopiero formowało się państwo egipskie.

Prof. Michałowski był twórcą tzw. polskiej szkoły archeologii polegającej na prowadzeniu kompleksowych badań z udziałem specjalistów z różnych dyscyplin naukowych. Umożliwiało to pełne i szybkie opracowywanie materiałów. Często łączono badania archeologiczne z pracami konserwatorskimi.

ANDRZEJ MARKERT (PAP)
Fot. **CAF**

Prof. Kazimierz Michałowski w Faras

Fragment fresku przedstawiającego jednego z książąt nubijskich

DWORZEC KOLEJOWY W SKIERNIEWICACH

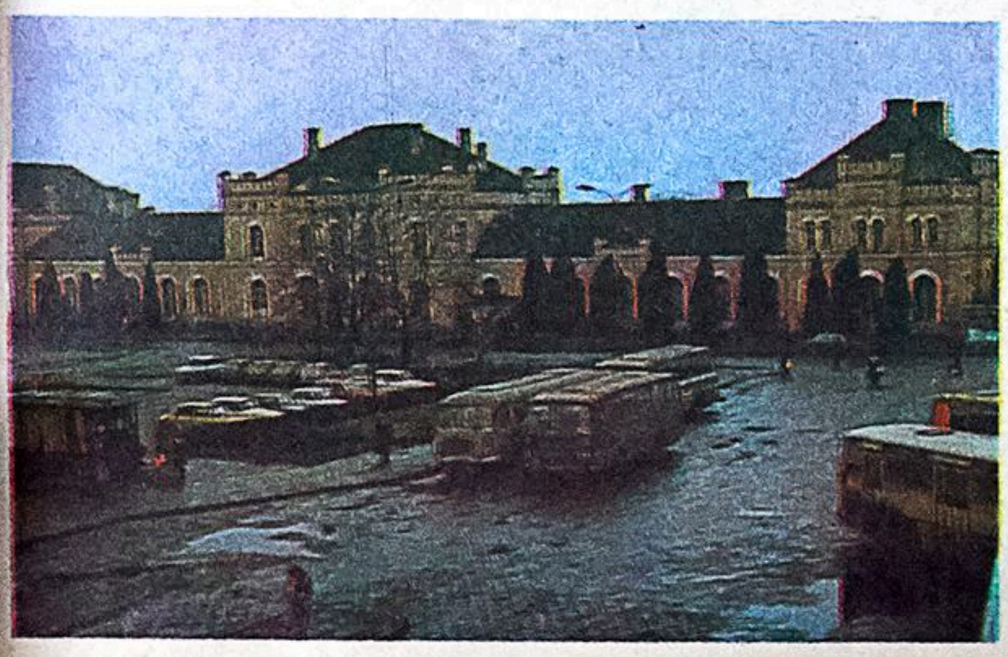

Towarzystwo akcyjne dla budowy drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej powstało w 1838 r. Ustalono przebieg trasy nie decydując się jeszcze na rodzaj trakcji: konną lub parową. Przystąpiono do prac projektowych i robót ziemnych pod nadzorem czterech „inżynierów dyrygujących" i głównym kierownictwem Stanisława Wysockiego.

Po kilku latach, wskutek trudności finansowych, Towarzystwo rozwiązało się, ale prace kontynuował od 1843 r. rząd Królestwa Polskiego. W następnym roku położono kamień węgielny pod budynek dworca w Warszawie i nareszcie podjęto decyzję: ma być trakcja parowa.

14 czerwca 1845 r. z dworca przy Alejach Jerozolimskich ruszył pierwszy pociąg, zabierając w 14 wagonach 200 zaproszonych gości na spacer do końca wybudowanego odcinka, do Grodziska Mazowieckiego.

Dalsze odcinki drogi żelaznej oddawano do użytku publicznego w tempie prawie błyskawicznym:
15.10.1845 Grodzisk – Skierniewice
1.11.1845 Skierniewice – Łowicz (odgałęzienie)
13.10.1846 Skierniewice – Piotrków Trybunalski
13.12.1846 Piotrków – Częstochowa
13.12.1847 Częstochowa – Ząbkowice
15.04.1848 do granicy z Austrią

Dworzec kolejowy w Skierniewicach, projektowany przez Adama Idźkowskiego i wybudowany w 1845 r. spłonął w 1945 r. (znajdował się na terenie parku). W 1875 r. powstała w Skierniewicach stacja węzłowa z nowym dworcem, wybudowanym przez architekta Moscaniego w oryginalnym stylu mauretańskim. Swoją służbę pełni do dziś. **(KG)**

Fot. **Jacek Łopuszyński**

Wciśnięta w kąt kanapy

Do końca miesiąca może mnie już nie być na tym świecie. Niech pani się nie denerwuje. Rodzice, którym też to powiedziałam, podeszli do sprawy zupełnie spokojnie. Powiedzieli jedynie: proszę bardzo, bierz sznurek i wieszaj się, tylko szybko. A ja już naprawdę nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

Dziś na dużej przerwie widziałam w szkole obydwoje rodziców. Na pewno wezwała ich wychowawczyni, która do tej pory ani razu jeszcze ze mną nie rozmawiała, ale z nimi stale porozumiewa się telefonicznie poza moimi plecami. A jeśli już musieli porozmawiać w sześć oczu, to znaczy, że moja sprawa wygląda tragicznie.

Zresztą kto może o tym wiedzieć lepiej ode mnie? Matematyka, fizyka, chemia oznaczają dla mnie ciągłe nowe i nowe dwóje. Ta coraz większa ich ilość może w końcu spowodować tylko jedno: usunięcie mnie z liceum. A do tego dojść nie może! Ja w zawodówce?! Nigdy! Co by powiedzieli rodzice! W szkole podstawowej byłam zawsze jedną z najlepszych uczennic. Na koniec ósmej klasy miałam średnią 4,8. A z matematyki piątkę. Obecna wychowawczyni podobno nie chciała w to uwierzyć. Aż wyciągała moje świadectwo, żeby to sprawdzić. Tak mi opowiadał ojciec. Bo teraz to do szkoły chodzi tylko ojciec. Mama lubi jedynie dowiadywać się przyjemnych rzeczy, kiedy zaś źle się dzieje, zaraz się wycofuje. Po co ma się za mnie wstydzić? Niech się wstydzi ojciec. Bardzo chciałabym, żeby nie musiał, więc staram się, jak mogę, ale mi się nie udaje.

Tato zna się na ścisłych przedmiotach, więc często mi pomagał i pomaga. Tyle że teraz wyczuwam, jak bardzo on ma tego dosyć, jak często wcale mu się nie chce i jak męczy się ze mną, żeby jak najprędzej to odwalić. Ale tata ma jedną ogromną zaletę: swoje uczucia do nas, to znaczy do mnie i do mojego brata, dzieli równo, po 50 procent. Z mamą jest zupełnie inaczej. Ona swojego ukochanego synka zawsze zrozumie, zawsze wytłumaczy, utuli, kiedy trzeba. A ja nigdy się nie liczyłam i nie liczę. Jeśli zdarzy się, że mama przytuli mnie i pocałuje, zaraz wiem, że jest jej pewnie z jakiegoś powodu źle, że czegoś ode mnie potrzebuje. Bo tak normalnie nie zdarza się to nigdy. Za to nieraz słyszę od niej: jeszcze parę lat tej męczarni i nareszcie spadniesz mi z karku, będę miała z tobą spokój. Kiedy to mówi, wydaje mi się, że za chwilę zemdleję.

Kiedyś, w szkole podstawowej, bardzo chciałam zdobyć sobie przyjaciółki, ale mi się to nie udawało. Uganiałam się za nimi, przekupywałam prezentami, wiecznie dawałam im ściągać. Teraz mam jedną nową koleżankę, której dużo o sobie mówię, ale nie wiem, jeszcze, czy jest moją przyjaciółką, czy nią w ogóle będzie.

Kiedy spoglądam czasem w lusterko, widzę w nim bardzo brzydką dziewczynę. Potwora. A te moje straszne, niezgrabne nogi, niech

CIĄG DALSZY NA STR. 4

KUWEJT położony nad Zatoką Perską ma 16 tys. km. kw. pow. i 1 milion mieszkańców. Ponad połowę ludności stanowią obcokrajowcy. 20 lat temu Kuwejt przystąpił do potężnej dziś organizacji krajów eksportujących ropę naftową OPEC. Przeszło 90 procent dochodów państwa przynosi obecnie wydobycie i eksport tego surowca. W kraju pracuje wielu wysoko kwalifikowanych specjalistów z zagranicy.

O Kuwejcie mówi doktor medycyny, WOJCIECH WACHOL

Baza „GEOPOLU" na pustyni Jahra, polskim specjalistom towarzyszył polski sprzęt

Fot. W. Wachol

Palmy z własnymi kranami

– Panie doktorze, przyjechał Pan z kraju pachnącego ropą naftową?...

– Kuwejt raczej pachnie oliwą. Stolica kraju jest nowoczesnym, czystym i pełnym zieleni miastem. Nawet w porcie przeładunkowym ropy nie ma śladu zanieczyszczeń! Woda morska zachęca do kąpieli, toteż co najmniej dwie godziny dziennie korzystałem z tej atrakcji.

Jeśli chodzi o ropę – dała Kuwejtowi ogromne bogactwo. Państwo zapewnia wszystkim obywatelom mieszkania, bezpłatne szkolnictwo oraz podręczniki, a nawet ubrania; chcący studiować otrzymują stypendia. Bezpłatna jest także służba zdrowia, lekarstwa. Nie znaczy to, że nie widziałem tam w ogóle ludzi biednych; są to emigranci z Indii czy Pakistanu; Mieszkają w kilku w wynajmowanym pokoju lub gnieżdżą się w byle jak skleconych „domach", krytych kawałkiem brezentu. Miraż wysokich dochodów ściąga do Kuwejtu wielu obcokrajowców.

Obywatelami numer jeden są rdzenni Kuwejtczycy. Tylko oni mogą otwierać własne przedsiębiorstwa. Uzyskać obywatelstwo przybyszowi z innego kraju jest niesłychanie trudno. Trzeba się wykazać wieloma latami nienagannej pracy, posiadać odpowiednie rekomendacje, a i tak zostaje się obywatelem jakby gorszej kategorii. Może należałoby to sprecyzować nieco inaczej: Kuwejtczycy dostają premię za to, że są rdzennymi obywatelami tej ziemi.

– Pracował Pan jako lekarz na kontrakcie naszego „Polservisu", czy zetknął się Pan z innymi polskimi specjalistami?

– W Kuwejcie spędziłem blisko cztery i pół roku. W tym czasie przebywała tam prawie stuosobowa ekipa specjalistów z przedsiębiorstwa „Geopol". Polscy fachowcy prowadzili roboty na pustyni, wiercili głębinowe studnie. Zasoby słodkiej wody to skarb. Jak wiadomo Kuwejt do tej pory pozyskiwał wodę słodką wyłącznie przez odsalanie morskiej. Teraz do miejskich wodociągów popłynie i woda z pustyni.

W szpitalu, w którym ostatnio pracowałem byli nie tylko polscy lekarze i pielęgniarki, ale również analitycy, technicy rentgenowscy i specjalista od rehabilitacji.

– Jak Pan ocenia służbę zdrowia w Kuwejcie?

– Szpitale są supernowoczesne, zbudowane przez Francuzów, doskonale wyposażone w najwyższej jakości aparaturę medyczną produkcji szwedzkiej, angielskiej i amerykańskiej. Wielu lekarzy jest po studiach zagranicznych m. in. w Anglii i ZSRR. Wiem, że wielu Kuwejtczyków chciałoby specjalizować się w Polsce.

Ponieważ szpitale są całkowicie i dla wszystkich bezpłatne, jest jeszcze niedostatek miejsc. Już w 24–48 godzin po urodzeniu dziecka kobiety są wypisywane do domu.

– Nauczył się Pan języka arabskiego?

– Tak, po kilku miesiącach mogłem się posługiwać tym językiem. Znacznie szybciej pokonały tę barierę nasze pielęgniarki. Mają one bezpośredni i stały kontakt z pacjentami. Mnie jako mężczyźnie – zgodnie z tamtejszymi obyczajami – nie wypadało rozmawiać z pacjentkami, ani, broń Boże, żartować; byłoby to bardzo źle widziane. Pracowałem w klinice położniczej.

Jeśli mowa o obyczajach, to warto dodać, że na przykład starsze Arabki wolą leżeć na podłodze i w szpitalu ściągają materace z łóżek, wszędzie zaś kręcą się krewni chorych. Arabowie mają bardzo rozwinięty instynkt rodzinny, nie można więc ograniczać godzin odwiedzin. Nie mają prawa wstępu jedynie na oddział porodowy.

Uliczny czyścibut ma równocześnie przenośny warsztat szewski i reperacja obuwia jest jego podstawowym zajęciem

Fot. „Der Spiegel"

Na przyjęciu weselnym w domu zamożnego biznesmena popija się soki, doktor Wachol siedzi drugi z prawej

Fot. W. Wachol

– Kraje petrodolarowe kojarzą się z ogromnymi, benzynochłonnymi krążownikami szos...

– Jeździ tam wiele dużych amerykańskich wozów, są japońskie. Widziałem także sporo „Fiatów 125p". Byłyby znacznie chętniej kupowane, gdyby miały klimatyzację. W Kuwejcie jest bardzo gorąco i sucho.

– Jak w takim razie wytrzymuje te warunki miejska zieleń, o której Pan wspomniał? Problem wody jest podstawową sprawą!

– Problem ten jest bardzo dobrze rozwiązany. Część Kuwejtu już korzysta z wodociągów, natomiast w dzielnicy, gdzie ja mieszkałem, wodę dostarcza się kontenerami. Na dachach domów są zbiorniki. Tylko raz zdarzyła się kilkugodzinna przerwa w dostawie wody – w kranach mojego mieszkania było sucho.

To brzmi jak żart, ale każda palma ma tam własny kran! Wspaniale utrzymane ogrody, baseny kąpielowe, wypełnione wodą słodką, są wizytówką bogactwa Kuwejtczyków.

– Synonimem bogactwa jest także złoto.

– Nieprzebrane ilości orientalnej biżuterii leżą na bazarze. Miałem okazję przyjrzeć się ceremonii przymierzania ślubnych ozdób przez pannę młodą. Bransolety, kolia, kolczyki, pas – wszystko z 22 karatowego złota. Bardzo było tego dużo!

– Czyżby był Pan w damskiej części mieszkania?

– Zupełnie wyjątkowo, jako lekarz tej rodziny. Segregacja płci zaczyna się tutaj już od szkoły podstawowej. Osobno uczą się dziewczęta, osobno chłopcy, tak jest także na uniwersytecie.

Stykałem się z objawami wielkiej radości, kiedy przychodził na świat potomek płci męskiej, co wcale nie znaczy, że dziewczynki są mniej kochane... Arabowie bardzo kochają dzieci, ich rodziny są liczne, mają ich ośmioro, dziesięcioro i więcej.

– Pan korzystał z morskich kąpieli, a jak swój wolny czas wykorzystują Kuwejtczycy?

– Zaobserwowałem masowe wyjazdy na pustynię, w porze, kiedy tam padają, skąpe zresztą, deszcze i pustynia, porośnięta kępami trawy, pokrywa się białymi i żółtymi kwiatami. Rozbijają namioty i biwakują, nie zapominając o włączeniu kolorowych telewizorów...

– Nowoczesna technika zderza się z tradycyjnymi obyczajami...

– Powszechnie noszonym strojem nadal jest diszdasza – długa luźna szata, przeważnie śnieżnobiała. Środkiem lokomocji – najnowszy model samochodu. Nieraz widziałem obok takiego pojazdu śpiącego sobie w najlepsze na ziemi – właściciela samochodu. Natomiast na tylnym siedzeniu np. „Cadillaca" można zobaczyć transportowane w ten sposób barany!

– Słowem Kuwejtczycy korzystając z dobrodziejstw techniki nie dają się jej zdominować.

Dziękuję za rozmowę

ANNA GRZYBOWIECKA

Wciśnięta w kąt kanapy

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

pani popatrzy. Niepotrzebnie pani mówi, że jestem ładna; to i tak nic nie pomoże, bo to nieprawda. Ale ja się tym nie bardzo przejmuję. Najstraszniejsza rzecz w moim życiu to te dwóje. I może jeszcze, że mama mnie nie kocha...

Magda dopiero po długich namowach godzi się na wyjście ze swego pokoju i wspólną rozmowę z rodzicami. My siadamy przy stole, ona wciska się w kąt stojącej pod ścianą kanapy. Podział na dwa obozy?

Matka: – *Jest krnąbrna, leniwa, nieposłuszna. Kłamie. W zeszłym roku okłamała nas, że zdała egzamin do liceum z językiem angielskim. Ojciec pochwalił się w pracy tym jej sukcesem, koledzy mu gratulowali, a potem musiał to wszystko ze wstydem odwoływać. Dlaczego od razu się nie przyznała? Jak mogła?! Nie chce nam tego wyjaśnić.*

Magda nie chce wyjaśnić i dzisiaj, ratuje się jak zwykle niepewnym uśmiechem. Wiem od niej, że bardzo tę sprawę przebolała, i chciałaby wierzyć, iż rodzice jej to kłamstwo już wybaczyli.

– *Do szkoły nie chcę chodzić, bo nie potrafię świecić oczami przed ludźmi* – kontynuuje matka. – *Magda powinna być najlepszą uczennicą! Czyż to za wielkie wymaganie, skoro oprócz nauki nie ma żadnych obowiązków?! Mnie nikt nigdy w lekcjach nie pomagał, studia też skończyłam własnym wysiłkiem, kosztem wielu wyrzeczeń.*

Kątem oka widzę jak skulona na kanapie Magda przymyka oczy i liczy po cichutku do dziesięciu.

– *Nie kocham jej? To bzdura! Po prostu nie jestem wylewna i ona o tym wie. Wojtusia trudno nie przytulić. On jest bardziej otwarty, przystępniejszy. A ona ciągle tylko milczy albo się uśmiecha.*

Znów dostrzegam przymknięte oczy Magdy i jej poruszające się bezgłośnie wargi. I nie mogę uwierzyć, że chodzi o tę samą dziewczynę, która zaledwie przed godziną tak namiętnie i z taką pasją opowiadała mi o swoich problemach.

Ojciec: – *Orlem to Magda nie jest, okna mogą być przy niej otwarte, nie wyfrunie. W matematyce zawsze jej pomagałem, więc jakoś kłopotów nie miała. Niby umie logicznie rozumować, zna i potrafi stosować wzory, ale przez swoją niesamowitą bezmyślność, zawsze popełnia głupie błędy. Kiedy nieraz jej coś tłumaczę, nagle zdaję sobie sprawę, że ona zupełnie nie myśli o matematyce, tylko buja gdzieś w obłokach. A jeszcze do tego lubi pozostawiać najtrudniejsze rzeczy na ostatnią chwilę. Dzisiejsza nasza rozmowa z wychowawczynią faktycznie była alarmująca – na pierwszy semestr może być nawet kilka dwój. Ale ja wierzę jeszcze, że przez pół roku uda się nam wybrnąć. Tylko, że wszystko zależy od niej.*

Magda jest zmęczona. Coraz częściej pociera przedramiona nerwowym ruchem. I nagle prosi mnie, żebym jeszcze choć na chwilę wyszła z nią do jej pokoju.

– Proszę pani, czy we mnie naprawdę można jeszcze uwierzyć?!

EWA KOSIŃSKA

SZKOŁA Z DWÓJĄ CZY BEZ DWÓI?

Postęp w miejsce sukcesu

Były minister oświaty i wychowania – Jerzy Kuberski w uczniowskiej pamięci zapisze się z pewnością jako ten, który próbował ich szkolny żywot uczynić znacznie lżejszym. Środkiem wiodącym do tego celu było w pierwszym rzędzie wyeliminowanie oceny niedostatecznej, a ściślej mówiąc, uczynienie z niej niezbyt szkodliwego straszaka. Nie sposób wprawdzie stwierdzić, że zmora dwój przestała w ostatnich latach straszyć w szkołach; faktem jest jednak, że szczególnie w podstawówkach słabi uczniowie mniej się denerwowali przed klasówkami, wychodząc ze skądinąd słusznego założenia, iż ocena niedostateczna, która nie może spowodować pozostania na drugi rok w tej samej klasie, w gruncie rzeczy nie jest groźna.

Sprawa likwidacji drugoroczności w klasach początkowych oraz poważne jej ograniczenie w klasach wyższych od momentu ogłoszenia ministerialnego projektu zmian, wzbudzała wiele kontrowersji. Większość publicznie wypowiadających się w tej kwestii osób była przeciwna ograniczaniu drugoroczności; krytyczne głosy dochodziły z wielu środowisk, z nauczycielskim na czele. Wysłuchiwano je – i owszem – ale nie miały one większego wpływu na kształt resortowych decyzji.

Tymczasem nad upadkiem prestiżu szkoły biadolili nieomal wszyscy wokół. Niepokojące wizje rozprzężonej pod każdym względem (przede wszystkim moralnym) szkoły przedstawiali publicyści oświatowi, nauczyciele nawoływali o opamiętanie, formułując dramatyczne pytanie – „jeśli nie dwói, to czego o n i będą się bać?", zaniepokojeni byli również rodzice. We wszystkich wypowiedziach przeważało wspominanie – „dawniej inaczej bywało", a sformułowany przez Kazimierza Koźniewskiego na łamach „Polityki" apel „O solidną, uzdrawiającą dwójęl" został z miejsca podchwycony przez wielu zwolenników „szkoły z dwóją".

W STRACHU PRZED „SZTYKIEM"

Od początku w tej całej sprawie zastanawiające było, dlaczego żadna inna z równie (bądź nawet bardziej) kontrowersyjnych decyzji resortu Oświaty i Wychowania z lat 70 nie wzbudziła tylu emocji. Czy rzeczywiście szkoła bez dwói z samego tylko swego założenia musi być szkołą złą? Przykłady z innych krajów wskazują, że drugoroczność można poważnie ograniczyć bez specjalnego uszczerbku na jakość kształcenia. Również większość nowatorskich programów nauczania (m.in. mający znaleźć zastosowanie we Wrocławskiej Szkole Przyszłości) nie przewiduje oceny niedostatecznej i to w ogóle, a nie tylko jako podstawowego bodźca mobilizującego ucznia do pracy.

Najprościej byłoby odpowiedzieć następująco – skoro szafowanie dwójami i drugorocznością „sprawdziło się" przez dziesięciolecia, to nie ma racjonalnych powodów do zmiany tego stanu rzeczy. Nie można jednak całego zagadnienia sprowadzić do zawiści starszych pokoleń, pamiętających własny strach przed „zimowaniem" i tym samym nie mogących pogodzić się z myślą, że ich dzieci i wnuki uczucia tego strachu nie będą znać.

Sedno sprawy tkwi gdzie indziej. W końcu 1977 r., kiedy to dyskusja nad drugorocznością osiągnęła apogeum, jasne już było, że sytuacja w naszym szkolnictwie jest niewesoła. Wprawdzie oficjalne wypowiedzi przeczyły temu, nauczyciele, rodzice i uczniowie mówili co innego. Poziom nauczania obniżał się, może nie gwałtownie, ale systematycznie. Wątpliwości budziło też stosowanie w praktyce Kodeksu Ucznia, niepokoiły zakładane w szkołach kartoteki dla uczniów „opornych", napływały sygnały o niewystarczającym przygotowaniu nauczycieli do pracy dydaktyczno-wychowawczej. W takiej atmosferze „odciążenie" szkoły z drugoroczności musiało spotkać się z nieprzychylnym przyjęciem.

A przecież z niektórymi motywami decyzji ograniczającej drugoroczność wypada się zgodzić i dzisiaj. W niczyim interesie nie leży wszak kształcenie uczniów znajdujących się pod wpływem ciągłych stresów psychicznych, idących do szkoły jak na katorgę, wreszcie uczących się – podobnie jak anegdotyczny już Gałkiewicz z powieści Gombrowicza „Ferdydurke" – wyłącznie ze strachu przed „sztykiem". Szczególnie jest to ważne w odniesieniu do uczniów klas początkowych. Od tego wszak jak rozpoczną naukę, jak będzie wyglądała proporcja ich pierwszych osiągnięć i niepowodzeń, zależeć będą ich dalsze losy szkolne.

SKUTKI NIEUFNOŚCI

Szkoła „bez dwój i stresów" nie jest cudownym lekarstwem na oświatowe bolączki. Zmniejszając wymagania wobec uczniów, istotnie w niejednym wypadku doprowadzono nie tylko do obniżenia poziomu nauczania, ale i zachwiania ogólnie przyjętych norm w życiu szkolnym. Nauczyciel słysząc aroganckie „a co mi pan może zrobić?", słusznie przeklinać mógł nieszczęsną decyzję. Nie w niej należy jednak szukać przyczyny złego stanu naszego szkolnictwa.

Ograniczenie drugoroczności to tylko jeden z elementów procesu nazywanego „pedagogiką sukcesu", młodszej siostry głośnej ostatnio „propagandy sukcesu". Zarządzenie ministerialne nie obejmowało szkół średnich, tymczasem dyrektorzy liceów i techników byli ze wskaźnika drugoroczności równie surowo rozliczani. Dobrą – w ocenie zwierzchnich władz – była ta szkoła, w której promocje otrzymywali wszyscy; pozostawienie ucznia na drugi rok w tej samej klasie uważane było za co najmniej niewłaściwe i w wysokim stopniu decydowało o kuratoryjnej ocenie szkoły (a więc i dyrektora i nauczycieli).

W pogoni za „szkolnym sukcesem" zapomniano o tym, że pierwsza konfrontacja takiego „niezestresowanego" ucznia z rzeczywistością, wymagającą od niego potwierdzenia zdobytej wiedzy, może przynieść daleko bardziej opłakane

CIĄG DALSZY NA STR. 7

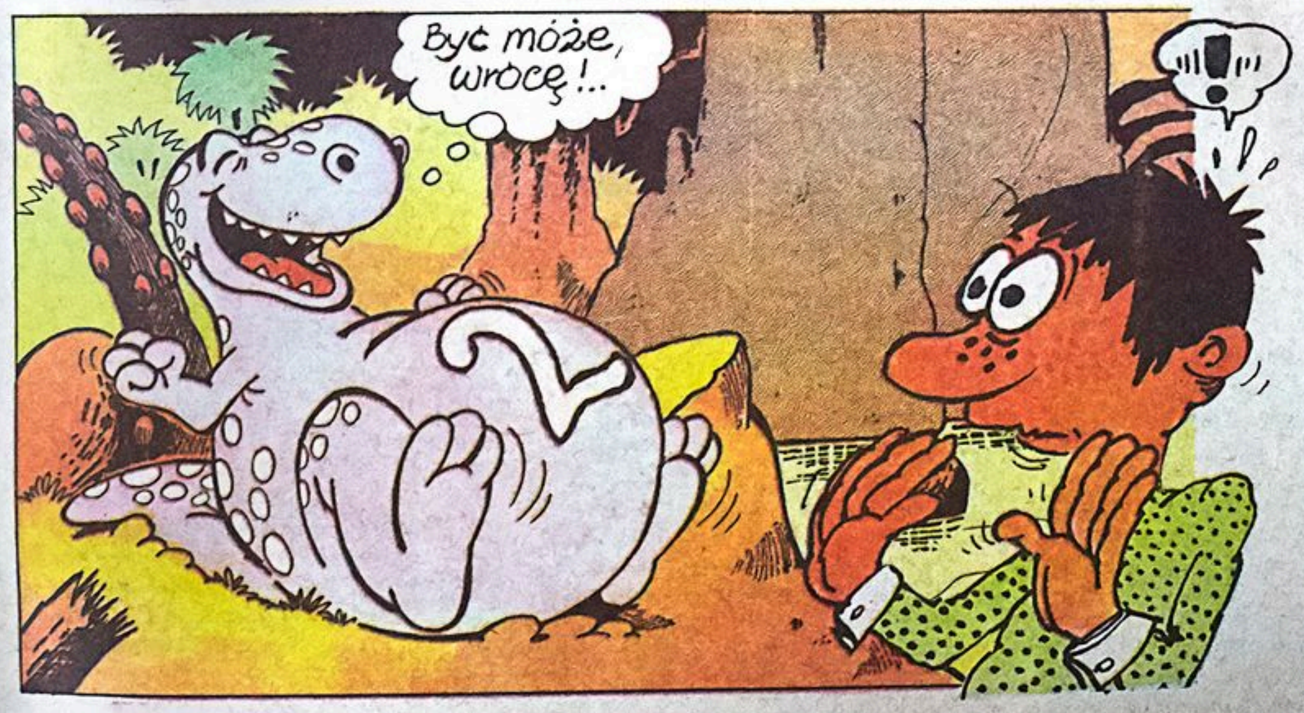

POLSCY SAMURAJE

Pierwsze próby naśladowania azjatyckich sportów walki pojawiły się w Polsce we wczesnych latach pięćdziesiątych. Dominowało dżudo. Liczne sposoby powalania przeciwnika tajemnymi sposobami pobudziły wyobraźnię. Książeczki i skrypty, jakie udało się pozyskać od zagranicznych studentów nie miały wprost ceny. Im mniej było wiadomości fachowych tym silniej sport ten przyciągał. Nastoletnim młodzieńcem w owych latach był niedawno powołany na funkcję trenera kadry narodowej Ryszard Zieniawa. Wspomina, jak będąc w wojsku sprzedał cały przydział papierosów, aby kupić skrypt do dżudo. Na podstawie zdjęcia gazetowego wyrysował kostium i jego projekt zaniósł do krawca. Tak powstała pierwsza polska dżudoga czyli popularne kimono. Zieniawa pasją swoją zaraził przyjaciół ze studiów wychowania fizycznego w Gdańsku. Założyli sekcję i nawiązali kontakty z kolegami z Warszawy. Dla każdego z nich uprawianie dżudo było jak przyjęcie nowej wiary. Uczyli się języka japońskiego, rozczytywali się w historii, a złośliwa anegdota mówi, że wielu próbowało jadać na co dzień pałeczkami. Aby silniej związać się z legendą o samurajach. W 1957 roku, w maju, w jednym z pokoi łódzkiego hotelu „delegaci" z Gdańska, Warszawy i Krakowa założyli Polski Związek Dżudo.

Dżudo było u nas dyscypliną wiodącą, ale przecież każdy ćwiczący tę dyscyplinę za punkt honoru stawiał sobie opanowanie innych sztuk walki. Próbowano karate i aikido, wkraczając w zaczarowany krąg pierwszych stopni wtajemniczenia – kyu, a później już mistrzowskich – dan. Dżudo stało się w szybkim czasie niezwykle popularnym sportem, głównie wśród młodzieży akademickiej. Sekcje uczelniane nadawały ton i dość specyficzny klimat dyscyplinie. Pierwsze próby zmierzenia sportowych umiejętności z rywalami z zagranicy nie wypadły pomyślnie. Dopiero w latach sześćdziesiątych przyszły brązowe medale z mistrzostw Europy. Prawdziwym jednak ukoronowaniem dla całej dyscypliny był srebrny medal Antoniego Zajkowskiego, wywalczony na igrzyskach olimpijskich w Monachium w 1972 roku.

Kiedy kadra narodowa polskich dżudoków pod wodzą Hiromi Tomity, japońskiego trenera specjalnie sprowadzonego do Polski, przygotowywała się do olimpijskiego występu, w kilku miastach Polski z rąk do rąk wędrowały dopiero co wydane skrypty o karate. Ceny osiągały zawrotną wysokość. Za zagraniczny podręcznik płacono po kilka tysięcy złotych. Dżudo jakby już okrzepło w swej sportowej postaci, stało się mniej tajemnicze. Karate natomiast fascynowało niezwykłą wprost skutecznością w ataku i obronie. Z pieczołowicie tłumaczonych podręczników, powielanych jak najcenniejsze księgi, starano się odnaleźć prawdziwy klimat tej dyscypliny. I znów fascynacja kulturą Wschodu, uczenie się języków i narzucanie sobie surowego reżimu życia.

Karate w Polsce rozwinęło się jednak inaczej niż dżudo. Nie uprawiano sportu, lecz kształcono się na samuraja. Powielano stare treningowe metody, ostro przestrzegano porządku i rytuału, dając tym dowód jedności ciała i ducha, który też przecież należało trenować. Nierzadko więc spotykano grupy w kimonach wędrujące boso w kopnym śniegu lub zażywające ożywczych kąpieli bez względu na porę dnia i nocy. Kształcono odporność na ból oraz siłę uderzenia rąk i nóg. Doskonalono poszczególne techniki uderzeń powtarzając je po tysiąckroć.

W połowie lat siedemdziesiątych pobieżne sondaże mówiły, że liczba ćwiczących karate jest znacznie większa niż sympatyków dżudo. Ale starania o powołanie związku nie przyniosły powodzenia. Istotną przeszkodą były pojawiające się coraz silniej liczne animozje pomiędzy poszczególnymi przywódcami – instruktorami z różnych miast. Przepaść rodziła się więc coraz większa, bo wprawdzie wszyscy uczyli się dopiero abecadła nie rozróżniając jeszcze sensu zdań, jednak honor reprezentowanej szkoły, stylu, wzbraniał jakichkolwiek porównań i sportowych kontaktów. Trzeba przyznać, że to rozbicie na szkoły, a co za tym idzie pomiędzy wieloma organizacjami międzynarodowymi, istnieje jeszcze do dziś w światowym karate i pewnie nieprędko dojdzie do porozumienia. Podobnie było także w Polsce.

Częściowe rozwiązanie problemu nastąpiło z chwilą powołania, w styczniu 1980 roku, Polskiego Związku Karate. Założyło go dwanaście klubów z terenu całego kraju. Po roku ich liczba się podwoiła. Zrezygnowano z obrony stylów pozostawiając je do uznania i wyboru samemu instruktorowi. Skupiono się na opracowaniu jednolitych przepisów sportowych. Do związku przystąpiła także ponad tysięczna grupa uprawiająca sport zbliżony do karate – taekwondo, tworząc własną sekcję. Trudno jednak dziś powiedzieć jak potoczą się dalsze losy karate, które dopiero w bieżącym roku wejdzie w jednolity system turniejów sportowych. Trudno też przewidzieć jak szybko pojawią się w tej nowej dyscyplinie mistrzowie tacy, jak w dżudo.

JANUSZ ŚWIERCZYŃSKI
Fot. **Maja Sokołowska**

GWIAZDOZBIÓR

„NIE CHCĘ SPOCZYWAĆ NA LAURACH, TYLKO GNAĆ DO PRZODU"

– mówi Kazimierz Brusikiewicz

– W tym roku obchodzi Pan 40-lecie pracy na scenie. Wszelkiego rodzaju jubileusze sprzyjają podsumowaniom. Jak ocenia Pan minione lata?

– Jeśli nie patrzy się na to z punktu widzenia wieku, to pozytywnie. Zadowolony jestem z tego, co osiągnąłem i nie chcę spoczywać na laurach, tylko gnać ciągle do przodu. Muszę przecież zapracować na następny jubileusz – w 1991 roku obchodził będę 50-lecie, o ile oczywiście doczekam, he, he. Ale chciałbym też, żeby mi się troszkę lata cofnęły, żebym dopiero zaczynał...

– Najgorsze i najlepsze chwile w Pańskim scenicznym życiorysie?

– Niełatwo było, kiedy stawiałem pierwsze kroki na scenie. Teraz młody aktor, który przychodzi do teatru ma ułatwione zadanie i o wiele lepszą sytuację. My traktowaliśmy teatr jak świątynię, do starszych aktorów odnosiliśmy się z należytym szacunkiem. Gdy zdarzyła się okazja grać z Adwentowiczem czy Węgrzynem, było to prawdziwe święto.

Pracowałem wtedy w teatrze toruńskim, kierowanym przez Horzycę, ale ponieważ teatr ten tworzył swego rodzaju fuzję z teatrem bydgoskim, najczęściej było tak, że rano jechaliśmy na próbę do Bydgoszczy, a po południu wracaliśmy na spektakl do Torunia lub odwrotnie. I mimo to, wystawiało się ponad dwadzieścia premier rocznie. Wspominam te lata jako najwspanialszy okres w moim aktorskim życiu. Tym bardziej, że miałem szczęście grać ze swoim ojcem.

A takich naprawdę złych chwil to nie miałem. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek rozpaczał zamknięty w czterech ścianach: „co ja zrobiłem"?, „dlaczego zostałem aktorem"? Zawsze miałem dużo pracy, zawsze spotykałem się z życzliwym przyjęciem publiczności, a to dla aktora najważniejsze.

– Grał Pan w wielu teatrach dramatycznych, ale w pewnym momencie zdecydował się na estradę. Jak to się stało?

– Estradowe skłonności zacząłem przejawiać już w 1948 roku. Debiutowałem zresztą w tej dziedzinie w doborowym towarzystwie – z Jerzym Ofierskim i Tadeuszem Plucińskim. Będąc aktorem poznańskiej Komedii miałem okazję grać w „Wodewilu warszawskim" Gozdawy i Stępnia. Na premierę przyjechali z Warszawy Grodzieńska, Rudzki i Jurandot, zobaczyli mnie i efekt był taki, że zaangażowany zostałem do Teatru Satyryków, w którym grały wówczas takie sławy jak Eichlerówna, Wysocka, Kurnakowicz, Fijewski. No i tak się zaczęło.

– W latach pięćdziesiątych zagrał Pan w kilku komediach, później można było Pana podziwiać właściwie jedynie na estradzie i w Teatrze Syrena. Dlaczego?

– W żadnym filmie nie trafiłem na rolę dla siebie, a szereg scenariuszy odrzuciłem, by nie powtarzać stereotypu.

– Wielu osobom kojarzy się Pan przede wszystkim z Malinowskim, gra Pan tę postać już tyle lat. Czy lubi ją Pan jeszcze?

– Malinowskiego gram od chwili gdy zaczął się „Podwieczorek przy mikrofonie" czyli prawie 23 lata i lubię go, bo przyzwyczaiłem się. Traktuję Malinowskiego jak jedną ze swoich ról. Swoich, bo stworzyłem tę postać sam. Czasami ubolewam nad tym, że wielu reżyserom kojarzę się właśnie z tym bohaterem i obawiają się, że wszystko co zagram, będzie go przypominało. Zaryzykował jedynie Gogolewski, który będąc dyrektorem teatru w Katowicach zaproponował mi rolę Szwejka.

– Jubileuszowym spektaklem będą również „Przygody Szwejka"...

– Tak, ale to zupełnie inny Szwejk. Będzie to przede wszystkim musical. Muzykę napisał do niego Poznakowski, choreografię opracował Gruca, tekst adaptował Filler, a reżyseruje Bogdański.

– Od 30 niemal lat związany jest Pan z Teatrem Syrena, czy nigdy nie korciło Pana, żeby zmienić go na inny?

– Nie. Zadomowiłem się tu. Mam swoją garderobę, swoje kąty, swój zespół – przy czym nie myślę tu tylko o zespole aktorskim, ale i technicznym, administracyjnym. A poza tym jestem tu razem ze swoją żoną, z którą pracuje mi się znakomicie.

– Czy należy Pan do ludzi z poczuciem humoru?

– Chyba tak. Uważam, że nasze społeczeństwo jest tak zatroskane, iż gdybym jeszcze i ja chodził smutny, narzekał i opowiadał, że jestem np. chory, byłoby tragicznie. Czasem z żoną pogadamy sobie, ponarzekamy, ale wtedy, gdy nikt nie słyszy. Poza tym myślę, że jeśli ktoś jest na co dzień ponurakiem, nie może tak naprawdę rozbawić publiczności, która znakomicie wychwytuje każdy fałsz.

Rozmawiała: **BOŻENA KRUPE**
Fot. **CAF**

DOM MODY świata młodych

A może by tak na narty?!...

Poszalałoby się, nieprawdaż?! Tylko bagatelka taka... górka jakaś by się przydała, śniegu co nieco, narty, na których (uwaga, to wcale nie sprawa najbardziej w tym wszystkim marginalna!) człowiek jako tako umie się poruszać i wszystko inne, co do tego poruszania się jest potrzebne czyli inaczej mówiąc przyodziewek łącznie z butami. Wymagania są więc nieco skomplikowane, prawda?! Ale to oczywiście nie znaczy, że niektóre z Was nie będą miały okazji na śniegu poszaleć. Nawet mimo tego, że wyjazdów na różne zimowiska w tym roku znacznie jest mniej. Może i nie zawsze na nartach (ach, ta umiejętność utrzymania się na nich!), ale np. na sankach. Jak kto może, nawet bez wyjeżdżania w wysokie góry, to gorąco namawiam – rzecz zdrowa, sympatyczna i modna. Tak, tak, jak najbardziej modna – ruch na świeżym powietrzu, to skarb dla figury i dla cery, a przecież i ładna figura, i zdrowa cera są bardzo modne. Nie żartuję!

Nie żartowałam również wspominając o odpowiednim dla harców na śniegu przyodziewku. Zdjęcie, które obok zamieszczam jest takie bardziej symboliczne... Te dwie dziewczyny, z ekwipunku przez nie prezentowanego sądząc, należą do asów slalomowego stoku, a nie wszystkim jest to z różnych względów dane. Oczywiście nie wątpię, że i wśród Was są znakomite, doświadczone narciarki, którym... nie śmiałabym zresztą podpowiadać, jak się na narty mają ubrać, bo pewnie lepiej ode mnie wiedzą. Ale przecież na narciarkach znakomitych świat się nie kończy. Jest jeszcze i cała reszta zwyczajnych dziewczyn, takich jak ja i bardzo wiele z Was, które jak już się w końcu na te saneczki raz na dwa lata wybiorą to ubrane... lepiej nie mówić. W spódnicach, w grubaśnych kożuchach, w paltach sięgających pięt... straszne rzeczy się na tych górkach widuje, naprawdę!

Nie namawiam, rzecz jasna, nikogo, aby sobie sprawiał specjalne ciuchy do założenia raz na dwa lata. Ale po pierwsze – czemu nie częściej? (i to nie tylko w czasie ferii, lecz w ogóle, póki zima trwa), a po drugie – z ciuchów w szafie przez przeciętną dziewczynę posiadanych można również taki śniegowy ekwipunek skompletować, zwracając uwagę na kilka ważnych w tym względzie spraw.

Po pierwsze – buty. Wygodne, ciepłe i nieprzemakające. No i w żadnym wypadku nie na obcasie zbyt wysokim. Jeśli ktoś w charakterze zimowego obuwia posiada tylko i wyłącznie wytworne botki na obcasie, to na harce śniegowe znacznie lepsze już będą... dwa numery za duże kalosze, w które włoży się ze dwie pary bardzo grubych skarpetek i jeszcze jakieś wkładki.

Po drugie – spodnie. Również wygodne i odpowiedniej objętości, tzn. nie za ciasne, bo jak człowiek się rusza, żeby przypadkiem nie pękły na szwie w nieodpowiednim miejscu i nieodpowiednim momencie. W swej dolnej części powinny być tak sformowane, aby śnieg w nogawki się nie dostawał, a więc albo wypuszczone na but, ale wtedy bardzo wąskie, albo włożone do buta, albo ściągnięte w kostce czyli tzw. pumpy. Materiał, z którego są uszyte nie powinien być zbyt puszysty, zbyt włochaty, bo do takiego zbyt łatwo czepiają się drobinki (albo i nie drobinki) śniegu, trudno je dokładnie wytrzepać, rozpuszczają się na spodniach i woda w nie nasiąka. Po godzinie robi się człowiekowi... mało sympatycznie. Materiał powinien być taki, do którego śnieg się nie przylepia. Np. nie najgorsze będą dżinsy z teksasu, ale całkiem kiepskie – spodnie z bawełnianego sztruksu.

Po trzecie – okrycie wierzchnie. Powinno być ciepłe, ale jednocześnie lekkie, żeby się nie zgrzać nadmiernie. Nie chodzi o to, żeby zmarznąć, ale lepiej jest gdy człowiekowi jest ciut za chłodno (bo wtedy się po prostu żwawiej musi ruszać, a wszak po to na te śniegowe harce się wybrał) niż gdy jest mu ciut za gorąco (bo wtedy przeziębienie jest więcej niż prawdopodobne). Najidealniejsza byłaby ortalionowa pikowana kurtka, a w każdym razie coś o fakturze takiej, do której się śnieg nadmiernie nie przylepia. Zupełnie tak jak ze spodniami. Chociaż oczywiście górne ubranie jest mniej narażone na kontakt ze śniegiem niż spodnie i jak pogoda jest ładna, może to być po prostu gruby sweter. Lepiej jednak jest coś na niego zarzucić, choćby najcieńszy nawet skafander czy inne wdzianko z czegoś bardziej w dotyku śliskiego.

Po czwarte – rękawiczki. Rękawiczki są szalenie ważne, bez nich nie wychodzi się na śnieg. Jak za gorąco, można je chwilami nosić w kieszeni, ale mieć trzeba. Rękawiczki powinny być w miarę nieprzemakalne (np. „łapki" z impregnowanego brezentu) a w każdym wypadku „śniegonieprzylepne". Więc nie włóczkowe, ale właśnie z jednym palcem z jakiegoś mniej puchatego materiału uszyte.

Po piąte wreszcie – czapka i szalik. Co do szalika, to może być nawet i ogromnie fantazyjny, długaśny i rozwiewający się na wietrze, jeden z tych noszonych na co dzień. Czapka natomiast powinna być lekka. Jeśli ktoś na co dzień uprawia noszenie solidnej czapy futrzanej lub ze sztucznego misia, to w czasie harców śniegowych lepiej jest ją zmienić na coś włóczkowego. Jak człowiek gania i hasa, to głowa się też... poci.

I to by było tyle. Jeszcze tylko, żeby śnieg był. Bo jak śnieg będzie, to już wszystko gra, nawet górka nie jest potrzebna. Jak się nie da zjeżdżać na sankach, to można przecież lepić bałwany, bawić się na śniegu w berka, grać w śnieżki...

RIUSZKA

Postęp w miejsce sukcesu

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

skutki niż jednorazowe „przezimowanie", w wielu wypadkach skutecznie spełniające rolę „kubła zimnej wody". Nie zawierzono w dostatecznym stopniu umiejętnościom pedagogicznym nauczycieli, stosując wobec nich administracyjny rygor miast spokojnej, wyważonej sugestii uwrażliwiającej ich na zagadnienie drugoroczności, która sama w sobie jest zjawiskiem z pewnością negatywnym i przynoszącym w skali tak społecznej jak indywidualnej duże szkody.

POD ROZWAGĄ

Można zadać pytanie, dlaczego powracamy do sprawy promowania uczniów z dwójami – odnośne zarządzenie nie zostało przecież odwołane. Tak, ale ze zmianami należy się w niedalekiej przyszłości liczyć. Na fali krytyki minionego okresu a więc i całej „pedagogiki sukcesu", środowiska nauczycielskie postulują cofnięcie podjętych uprzednio decyzji.

Uprzedzając nieco kolejną rundę zmagań o szkołę z dwóją lub bez dwói, chciałbym podzielić się obawą, czy w związku z negacją szkolnictwa lat 70, nie wybrane zostaną rozwiązania odwracające stan rzeczy o 180 stopni. Skoro zmniejszanie ilości dwój przyniosło szkody, to stawiajmy ich jak najwięcej; skoro promowanie było niemal koniecznością, to uczyńmy z niego prawdziwą „grę o wszystko" – takie rozumowanie do niczego nas nie doprowadzi. Nie sypanymi jak z rękawa dwójami, nie strachem przed powtarzaniem klasy czy poprawką uczynimy szkołę lepszą. Dwója jeśli ma na dłużej pozostać w arsenale bodźców mających zachęcić ucznia do nauki, nie może być tego arsenału podstawową bronią.

W namiętnej dyskusji nad zasadami promowania uczniów, stosowaniem w praktyce ocen niedostatecznych, a w szerokim rozumieniu całym systemem kar, zapomina się o głównych celach kształcenia. O tym, że pryncypia procesu nauczania winno wyznaczać dobro dziecka, a zadaniem szkoły jest podwyższanie jakości edukacji. O tym wreszcie, że uczeń powinien po prostu c h c i e ć się uczyć, a zmuszanie go do tego dwójami nie należy z pewnością do najlepszych sposobów. Szukanie dróg do naprawy oświaty bazujące na doświadczeniach naszych ojców i dziadków, jest często anachroniczne. Nową, lepszą szkołę stworzyć można wyłącznie w oparciu o postęp nauk pedagogicznych, o ich stały rozwój.

KRZYSZTOF MASŁOŃ

TOMIK

Warunki uczestnictwa w międzynarodowym konkursie astronomicznym pt.:

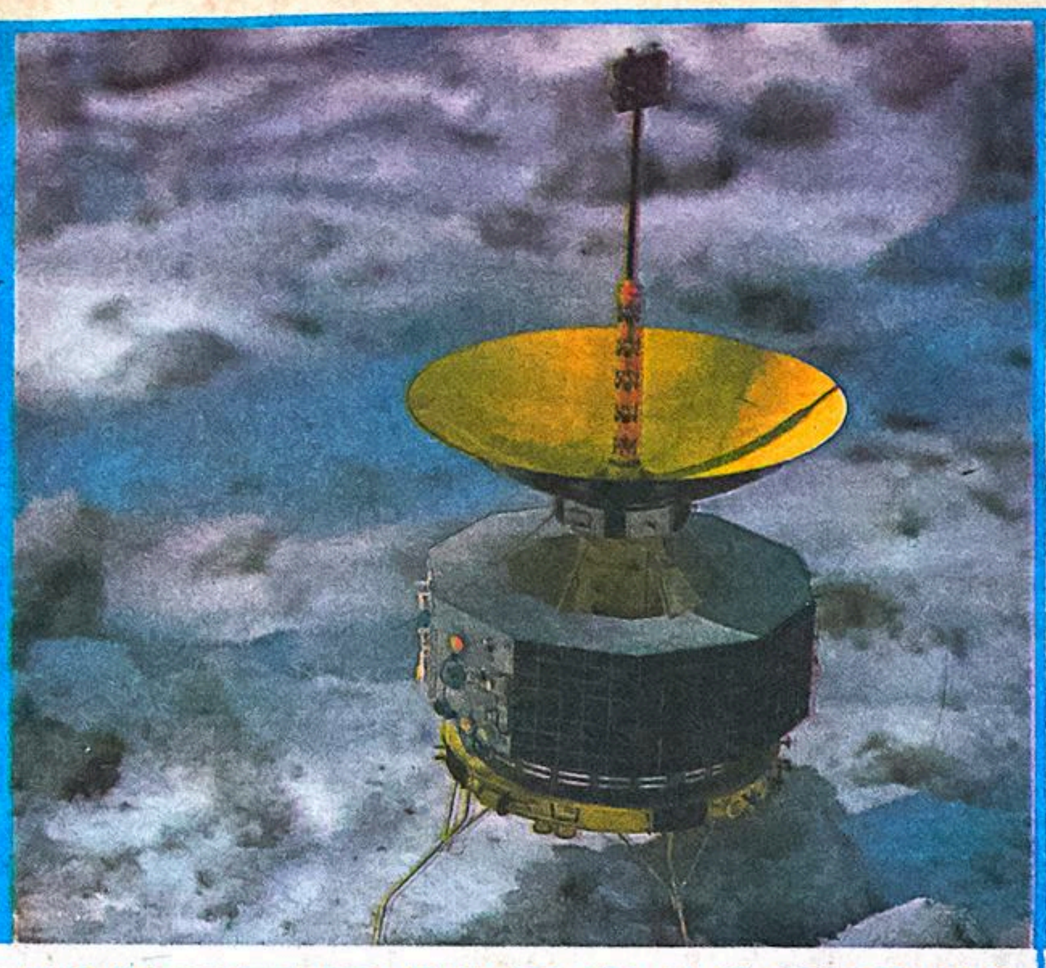

„MAŁY INTERKOSMOS"

W konkursie mogą brać udział zarówno poszczególni uczniowie jak również szkolne, pozaszkolne i osiedlowe zespoły miłośników nauki i techniki. Prace rozpatrywane będą w dwóch grupach wiekowych: do lat 15 i powyżej tego wieku. W przygotowaniu prac konkursowych można korzystać z pomocy instruktorów, inżynierów, nauczycieli, naukowców a nawet instytutów badawczych.

Tematy prac konkursowych

Konkurs ma nieco inny charakter niż dotychczasowe. Nie chodzi w nim o modelowanie już istniejących urządzeń kosmicznych: statków załogowych, rakiet, sond, stacji międzyplanetarnych itp. Organizatorzy oczekują od was, że wniesiecie własne, oryginalne pomysły przyszłych badań i eksperymentów naukowych, które mogą być przeprowadzone w kosmosie, a także urządzeń technicznych potrzebnych do ich realizacji.

Czego powinny one dotyczyć? A więc budowy aparatów, przyrządów i osprzętu kosmicznego, systemów łączności kosmicznej, systemów wprowadzania aparatów na orbitę, środków transportu dla przemieszczania kosmonautów i ładunków w przestrzeni kosmicznej, na planetach i innych ciałach niebieskich.

Ponadto mogą to być doświadczenia stosowane, związane z wykorzystaniem możliwości i osiągnięć kosmonautyki dla rozwiązywania problemów gospodarki narodowej. Na przykład badania geologiczne, łączność, nawigacja, meteorologia, rolnictwo i leśnictwo, ochrona środowiska naturalnego itp.

Formy prac konkursowych

Na konkurs, w ramach wszystkich kierunków, można przedstawiać:

– pomysły przeprowadzenia doświadczeń lub badań z uzasadnieniem ich wartości i celowości;

– opracowane propozycje techniczne lub szkice projektów z wykresami, obliczeniami i opisami;

– makiety, modele, przyrządy, konstrukcje urządzeń doświadczalnych i systemów z obowiązkowym opisem.

Do udziału w konkursie dopuszcza się:

– projekty dotyczące wykorzystania i zagospodarowania przestrzeni kosmicznej. Miejscem przeprowadzenia doświadczenia może być kabina pilotowanego statku kosmicznego, komora stacji orbitalnej, pokład automatycznego sputnika Ziemi lub stacji międzyplanetarnej, otwarta przestrzeń kosmiczna, powierzchnia planet i innych ciał niebieskich;

– projekty przewidujące wykorzystanie w warunkach ziemskich środków stosowanych dotychczas tylko w warunkach kosmosu.

Jeżeli projekt zawiera wnioski, których realizacja jest niemożliwa ze względu na aktualny poziom techniki, autor powinien określić drogi rozwoju współczesnych środków technicznych dla osiągnięcia zamierzonego celu (np. zwiększenie nośności rakiety, mocy laserów, opracowanie mozaikowych luster o dużej średnicy).

Jury konkursu...

...brać będzie pod uwagę społeczną użyteczność pracy; związek z aktualnymi problemami techniki, nauki i produkcji; oryginalność pracy; prostotę i możliwość praktycznej realizacji; szerokość spojrzenia autora i dobrą orientację w problemach naukowo-technicznych; poziom, do którego zostało doprowadzone opracowanie proponowanego wniosku; jakość przygotowania makiet i modeli.

Termin nadsyłania prac...

...upływa z dniem 31 marca br. (decyduje data stempla pocztowego. Prace należy nadsyłać na adres Biuro Młodzieżowych Patentów przy Głównej Kwaterze ZHP, ul. Konopnickiej 6, Warszawa.

Nagrody

Pierwszej selekcji prac dokona jury złożone z ekspertów BMP przy GK ZHP. Najlepsze prace wysłane zostaną do ZSRR i tam w terminie do 1 czerwca zostaną ocenione, już w konkurencji międzynarodowej. Będzie to zakończenie I etapu konkursu. Drugi etap przeprowadzony zostanie w lipcu–sierpniu b.r. (dokładny termin podamy w późniejszym czasie), w którym wezmą udział laureaci pierwszego etapu. Zwycięzcy – po 9 osób z każdego kraju RWPG – wyjadą do ZSRR. Ponadto wszyscy uczestnicy końcowego etapu nagrodzeni zostaną dyplomami i specjalnymi odznakami. Dla nich też zostaną zorganizowane wycieczki do Gwiezdnego Miasteczka, Muzeum Kosmonautyki oraz Centrum Kierowania Lotem. Biuro Młodzieżowych Patentów przy GK ZHP także przygotowało nagrody rzeczowe oraz patenty i wyróżnienia, jeśli prace będą na to zasługiwały.

Na zdjęciu: ***Model międzyplanetarnej stacji „Mars", wykonany przez pionierów z Nowoczerkaska***

Fot. APN

NOWE SKAFANDRY KOSMICZNE

Skafandry kosmiczne przygotowane dla załóg wahadłowców będą doskonalsze od poprzednich, stosowanych w czasie wypraw z serii Apollo. Główną zaletą nowych skafandrów będzie możliwość ich wielokrotnego wykorzystania w ciągu nawet 15 lat, i to zarówno przez mężczyzn jak i kobiety. Czas przygotowania do powtórnego użycia wynosił będzie 2–3 dni. Większa elastyczność powłok skafandra znacznie ułatwi pracę astronautów, której jednorazowa długość będzie mogła wzrosnąć do siedmiu godzin. Zainstalowanie zespołu wskaźników świetlnych pozwoli na bieżąco śledzić prawidłowość działania podzespołów skafandra.

Tomasz Dronka
ul. Mszczonowska 47/36
96-100 Skierniewice

NAJWIĘKSZY RADIOTELESKOP ŚWIATA

W pobliżu miejscowości Socorro w stanie Nowy Meksyk w USA, oddano do użytku największy radioteleskop świata. Składa się on z 27 anten parabolicznych o średnicy 27,3 m, z których każda waży 210 ton. Anteny te ustawiono wzdłuż trzech odcinków toru kolejowego ułożonego w kształcie litery Y, co ułatwia wykorzystanie do zmiany położenia względem nieboskłonu własnego ruchu obrotowego Ziemi. Dwa z nich mają długość po 21,7 km, zaś trzecia – 19,5 km. Między poszczególnymi stanowiskami obserwacyjnymi, których jest łącznie 72, przemieszczane one są za pomocą transportera o 36 kołach. Odebrane sygnały, nadchodzące z odległych gwiazd, mgławic i galaktyk, przetwarzane są przez komputery, usuwające zakłócenia odbioru i dokonujące analizy danych i wyrysowujące mapy obszarów emisji radiowej.

Miejsce, w którym ulokowano radioteleskop jest otoczone górami, co ułatwia odizolowanie się od „szumu radiowego" powodowanego przez stacje radiowe, telewizyjne, przelatujące samoloty itp. Budowa instalacji trwała 8 lat i pochłonęła 78 mln dolarów. Posłuży ona naukowcom z 9 najbardziej liczących się w USA uczelni, m.in. Massachusettss Institute of Technology oraz uniwersytetów: Columbia, Harvard, Princeton i Yale. Będą oni za jej pomocą badać strukturę i przebieg ewolucji gwiazd i supernowych, kosmiczne źródła promieniowania rentgenowskiego, kwazary i czarne dziury oraz molekuły materii międzygwiezdnej.

„Bardzo wielki radioteleskop fazowy" – jak go nazwano będzie narzędziem wykorzystywanym niezwykle intensywnie, jedynie z przerwami na bieżącą konserwację. Jeszcze zanim przystąpiono do eksploatacji całego systemu, który uruchamiano stopniowo począwszy od r. 1975, w kwietniu ub. roku naukowcy wykryli za jego pomocą emisję radiową z gasnącej gwiazdy, znajdującej się w galaktyce odległej od Ziemi o 50 mln lat świetlnych.

go na pomoście „Gwiazdy Północy", a siebie na jej pokładzie. Od dzieciństwa marzył by pływać z tym człowiekiem. On to najczęściej był bohaterem ojcowskich opowiadań. Jego wiedza, śmiałość żeglarska i dobre serce zmuszały do szacunku nawet ludzi mu nieprzychylnych.

Jacka dławiła rozpacz. Strata ojca i słowa matki, które na zawsze zamknęły mu drogę na morze, były podwójnym ciosem w jego młodym życiu.

„Z wiosną pojadę do Portu Świętego Jana i tam zaokrętuję. Na razie zrobię, jak matka chce, pójdę do konserwiarni Prigga..." – powtarzał w myślach, utwierdzając się mocno w tym postanowieniu.

Wstał o świcie i pobiegł nad urwisko. Patrzył z goryczą, jak „Gwiazda Północy" wybrała cumy i szła ku wyjściu. Lawson zręcznie wymanewrował z Gardzieli Wieloryba i wyszedł na otwarte morze. Śmiało dał się ponieść prądowi, w odpowiednim miejscu odskoczył od skał, przy których szedł tak blisko, że Jackowi aż zapierało dech, wreszcie podniósł żagle. Szkuner w pięknym przechyle, z lewą burtą nieomal pod falami, poleciał prostym kursem na Port Świętego Jana.

Jack, nieruchomy, jak posąg, nie odrywał wzroku od oddalającej się sylwetki „Gwiazdy Północy".

Tam płynął szkuner jego marzeń. Tam był pokład, po którym stąpali ojciec i Jeff.

Zacinał wiatr z deszczem. Jack stał zapatrzony, obojętny na zimno, stał tak długo, aż biały punkcik zlał się z chmurami.

Wtedy westchnął z pasją, wtłoczył zaciśnięte pięści głęboko w kieszenie i naśladując chód Lawsona, skręcił na ścieżkę prowadzącą do domu.

Wszystko się układało jakoś inaczej niż za życia ojca. Matka od kilku dni biegała po sąsiadach, prowadziła długie rozmowy z pastorem O'Brien. Często też zachodziła do Prigga, długo przesiadując w jego kantorze.

Z tego, co mówiła do odwiedzających ich dom sąsiadów, Jack wywnioskował, że większość pieniędzy otrzymanych od Lawsona poszło na spłacenie długu u Prigga. Handlarz, nie bacząc na ich sytuację, zażądał ostatecznego uregulowania należności.

Prigg wisiał nad głowami mieszkańców Fish Creek jak przekleństwo. Był wiecznym tematem ich rozmów, narad i narzekań. Trzymał w swoim ręku, a właściwie kieszeni, nieomal wszystkie ich sprawy materialne.

Każda osoba i mieścina w Nowej Fundlandii ma swojego Prigga lub kilku Priggów. Uzależniają oni od siebie wszystko i wszystkich.

Żaden żeglarz nie wyjdzie w morze, jeśli Prigg nie skredytuje mu sprzętu i prowiantu, a dla rodziny wszystkiego, co jest potrzebne do życia. Radość z udanego połowu jest też uzależniona od ceny za rybę, jaką podyktuje Prigg.

Biblią każdego z Priggów jest prowadzona z wielką skrupulatnością księga kredytów. Długie kolumny cyfr zawierają przeszłość i przyszłość żeglarskich rodzin. W każdej sumie kryją się nieprzespane noce, do krwi zdarte ręce, lód, wicher, mgła, ciężar namokniętych sieci, katorga wioseł, pogięte grzbiety i pokręcone artretyzmem kończyny. W sumach tych odbijają się oblicza nieszczęśników, którzy zbłąkani we mgle i zniesieni w bezmiar oceanu, zginęli śmiercią głodową, postacie tych, co padli z wycieńczenia, i tych, których sztormowe fale zmyły z pokładów.

Te martwe cyfry, kryją w sobie zderzenia z górami lodowymi, sztormowanie kilkunastometrowych fal, walkę ze zmęczeniem, bólem i strachem.

Prigg w dzieło budowania swojej fortuny wprzągł nie tylko żeglarzy, ale starców, kobiety i dzieci.

Starcy pracowali w sieciarni, sękatymi palucha mi tkając z setek tysięcy metrów sznura cały asortyment sieci.

Kobiety suszyły ryby, pracowały w konserwiarni. Tym, które nie mogły opuścić domu, Prigg dawał wełnę, by robiły na drutach swetry i skarpety, wywożone przez niego do Portu Świętego Jana.

Starsi chłopcy pracowali w konserwiarni lub na pokładzie któregoś z siedmiu kutrów Prigga.

* kliper – typ żaglowca z drugiej połowy XIX wieku.
* kubryk – pomieszczenie mieszkalne dla załogi statku.

Cdn.

12

NA SZLAKU BEZPRAWIA

BILL BINO

TEKST I RYSUNKI: Jerzy Wróblewski

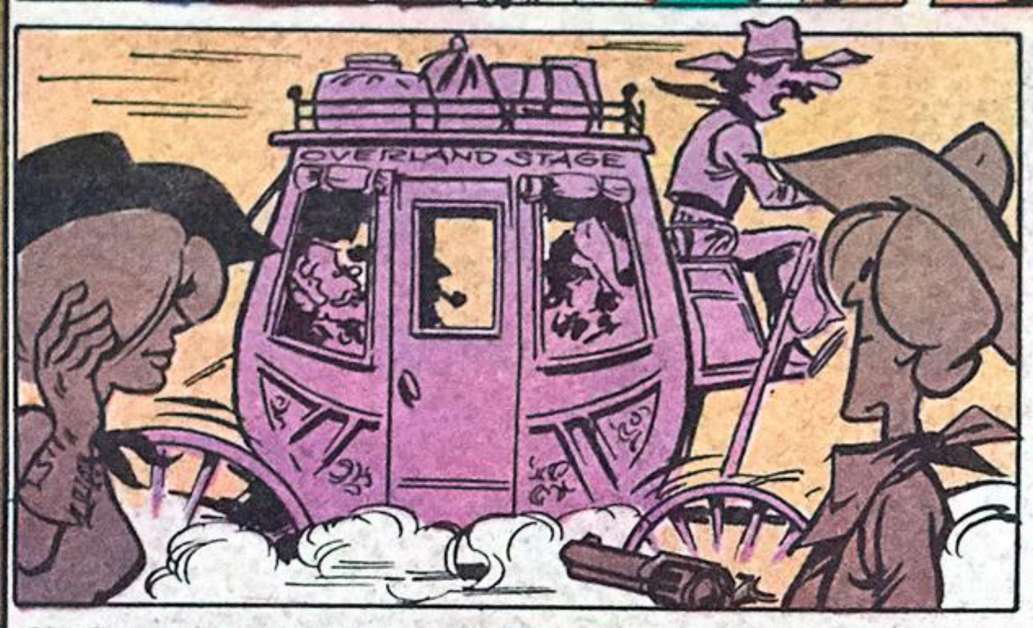

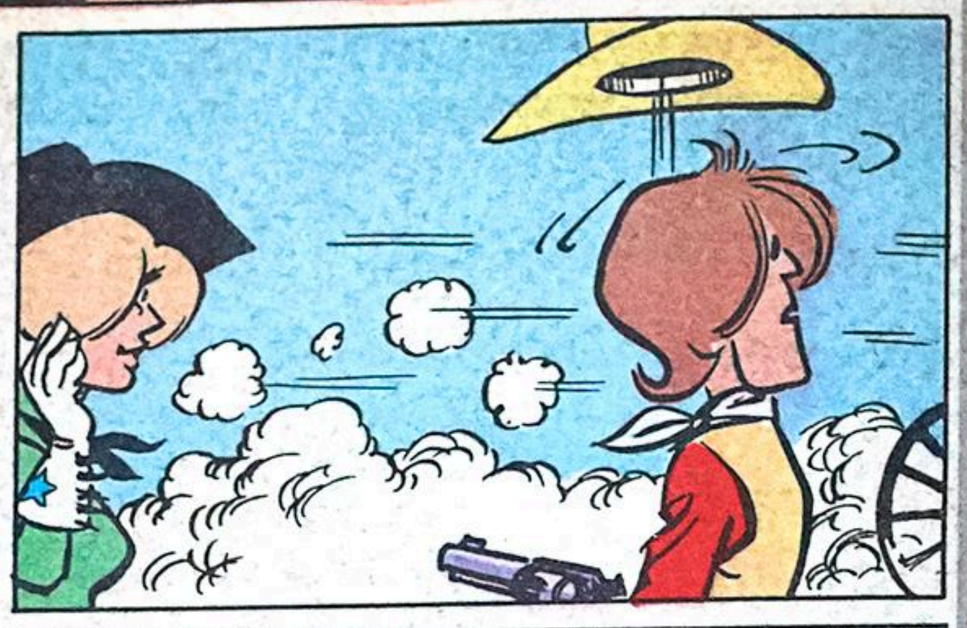

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: [illegible] 24, 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 18, 40-003 Katowice, tel. 53-77-31 [illegible] 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTOREK, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. naczeln.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jasińska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalewski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Pomianowski, Zdzisław Przybytowski, Ryszard Rajczyk, Barbara Skorupa, Marian Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-08
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Noszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 29-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-51.

Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 20104-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 288/G L-90

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

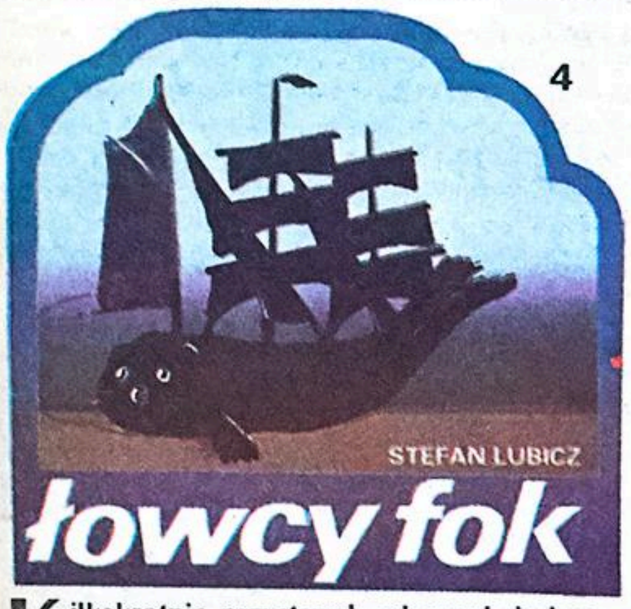

4

łowcy fok

Kilkakrotnie przystawał, odwracał się i patrzył na ocean. Nozdrzami łowił morską woń. Zmrużone oczy badały niebo, budowę fali i dziesiątki elementów składających się na umiejętność żeglarskiego przewidywania.

Wiatr rozwiewał poły kapitańskiego surdutu, targał brodę, smagał pobrużdżoną twarz.

Zewsząd ciągnęli ludzie. Powolnym krokiem dążyli na wezwanie pastora O'Brien.

Kościółek był jego dziełem. On rozpoczął budowę, inni pomogli. Budulec dały wraki, których kilka leżało na przybrzeżnych skałach, wyrzucone przez morze belki, maszty, skrzynie.

Pod toporami cieśli okrętowych wydarty z wraków dobry szkocki dąb, z którego budowano szkunery, zamienił się w ławki, pulpity i boazerię. Fragmenty potrzaskanych masztów użyto na wiązania dachu. Na kotwicy kowal – ogromny Szkot – wsparł pulpit pastora. Wokół ławek lśnił brązem reling z amerykańskiego jachtu, który nieopatrznie chciał zmierzyć swe siły z prądem od Rockie Ness.

Za sygnaturkę służył dzwon okrętowy, zdjęty przez starego Lawsona z wraka angielskiego okrętu wojennego, który w roku 1922 rozbił się w Armour Point na wybrzeżu Labradoru.

Nad ołtarzem wisiał piękny model czteromasztowego szkunera, wykonany przez sędziwego O'Connora, pamiętającego rejsy wokół przylądka Horn na skrzydlatych wschodnio-indyjskich kliprach.*)

Kościółek nie mieścił wszystkich. Wielu stało na wietrze. Lawsonowi z szacunkiem zrobiono przejście. Zajął miejsce w pierwszym rzędzie, przeznaczonym dla żeglarskiej starszyzny.

Po psalmach i hymnach pastor O'Brien poczekał z kazaniem aż sędziwi żeglarze nabiją cybuchy i rozpalą fajki.

Kazanie było krótkie i jak zwykle była w nim mowa przeważnie o morzu.

Oczy matki Cowley i chłopców patrzyły na trzy nowe nazwiska złocące się świeżą farbą na boazerii. Lista nazwisk tych, którzy z morza nie wrócili była długa. Bardzo długa. Niektóre napisy tak ściemniały, że trudno je było odczytać.

Po żałobnej mszy odbył się tradycyjny pogrzeb. Do wspólnego grobu spuszczono trumnę zawierającą sprzęt żeglarsko-rybacki, liny, kawałek sieci, część rzeczy osobistych. Na trumnie leżały żeglarskie czapki, noszone zazwyczaj w niedzielę i dni uroczyste.

Siwowłosy, zgarbiony O'Connor drżącym głosem odmówił psalm „Za tych, co na morzu". Chwilami staruszek prostował się i głos jego brzmiał donośnie i czysto jak dzwon. Pochyliły się obnażone głowy. Wiatr burzył włosy, targał sukniami, wył i zawodził jak gdyby też brał udział w ogólnym żalu i rozpaczy.

Ostatnie słowo wygłosił Lawson, krótko, po marynarsku żegnając współtowarzyszy, kolegów w walce z morskim żywiołem.

Wdowy i dzieci zanosiły się od płaczu. Jack zagryzał wargi, z trudem powstrzymując łzy. Stracił w ojcu najbliższego przyjaciela. Człowieka, który był dla niego wzorem żeglarskiej dzielności.

Nie będzie już wieczornych gawęd, gdy zasłuchani wpatrzeni w czerstwą, okoloną brodą twarz, wędrowali wyobraźnią po morzach i oceanach, stawiali czoła sztormom, walczyli z lodami, trzymali ręce na sterze, wraz z ojcem prowadząc „Gwiazdę Północy" poprzez liczne niebezpieczeństwa. Nie będą się już śmiały oczy ojca, jak wtedy gdy opowiadał synowi anegdoty z morskiego życia. Nie będzie już przynosił z sobą powiewu otwartych wód, zapachu ryb, kubryku,*) nie będzie napełniał izby swobodnym, pełnym śmiechem.

Jack starał się skupić uwagę na tym, co mówi Lawson, lecz patrząc na starego szypra widział

Dokończenie na str. 7